Nr. 30. Warszawa, dnia 15 (28) Lipca 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

PROMYK SŁOŃCA.

Już wszyscy wymordowani w Pekinie, niema już kogo ratować; można się tylko mścić—takie brzmiało hasło jeszcze w przeszłym tygodniu. Własnemi oczyma swemi oglądał to ten, to ów zburzone poselstwo angielskie, patrzył na ofiary rzezi we krwi kałużach tonące. Jęki kobiet zhańbionych rozdzierały ucho europejskie. Nagie też ciała tych, które mężowie sami pozabijali, aby je wydrzeć hańbie, nie uchroniły się przed europejskim wzrokiem. Poćwiertowane zwłoki podrzucali radośnie w górę rozbestwieni Chińczycy, a niemowlęta zatykali sobie na piki, na znak upojenia tryumfem. Padli pod nożem przedstawiciele mocarstw, i służba ich, i rodziny; nóż i głownia wniosły zniszczenie w ciche, sprawie bożej poświęcone przybytki misyjne: wściekłość urządziła sobie biesiadę najpierw z nawróconych Chińczyków, a potem z nawracających misyonarzy. Nie ocalał nikt. I roznosiciele światła, uczeni profesorowie uniwersytetu w Pekinie, Niemcy, Anglicy i Francuzi, i roznosiciele cywilizacyi, kupcy i przemysłowcy, i wreszcie wyżsi urzędnicy chińscy, jak zarządzający cłami Robert Harte — wszystkich pochłonął straszliwy smok chiński. Został przy życiu tylko ten, kto miał zostać heroldem śmierci. Opłakano już ofiary, powznoszono nekrologi i zabierano się do wznoszenia pomników. Skrupulatne dziennikarstwo nie omieszkało donieść, kto miał piękną żonę, jak np. poseł angielski Macdonald, kogo zatem najwięcej żałować potrzeba, i dla kogo też życie najwyższą posiadało cenę.

Tak było w przeszłym tygodniu. W bieżącym całą tę krwawą oazę z przed wyobraźni europejskiej zwiewa doniesienie pełnomocnika amerykańskiego w Pekinie, Congera. W sobotę przeszłą rząd w Waszyngtonie otrzymał od niego depeszę cyfrowaną: oblężony w ambasadzie angielskiej oczekuje wraz z innymi od sieczy. Na depeszy stoi data „18 lipca," ale nie-cyfrowana. Wypisał ją, nie sam Conger, ale konsul, nie wskazano który, depeszę rządowi od siebie wprost wysyłający. Prawdopodobnem jest przetrzymanie przez Chińczyków rzeczywistej, prawdziwej depeszy cyfrowanej z datą niewiadomą i doręczenie jej owemu konsulowi może już po spełnieniu się rzezi; ale możliwem jest również i wysłanie jej przez samego posła, jeśli nie w samym dniu osiemnastym, to w pobliżkim, a w każdym razie po rzezi (d. 6 i 7 b. m.). Za prawdziwością daty 18-go przemawia dekret cesarza chińskiego, okazany p. Delcassému, francuskiemu ministrowi spraw zagranicznych i odezwa samego cesarza chińskiego z Tsung-li-Jamenu wydana, zwracająca się do Francyi z żądaniem pośrednictwa między Europą a Chinami— oba akty poważne, chociaż zostawiające jeszcze miejsce na niedowierzania i wątpliwości. Powaga ich wszakże jest tak znaczną, że nieufność musi ją umyślnymi dowodami zwalić. Na niej oparły swą wiarę dwa rządy: paryski i waszyngtoński.

Rząd paryski w zasadzie nie odrzuca roli pośrednika, ale ją opisuje warunkami, z których najpierwszy wychodzi właśnie z domniemania, że posłowie żyją i potrzebują tylko nadal nad życiem swojem czujnej opieki rządu chińskiego, który za nietykalność i całość ich osób surowo odpowiedzialnym będzie. Rzecz prosta, gdy się chce czyjego pośrednictwa, przedewszystkiem poddaje się bez ograniczenia takiemu warunkowi i przestrzega jego ścisłego spełnienia. Przytem trzebaby przypuścić niesłychany cynizm w rządzie chińskim, gdyby z żądaniem pośrednictwa w pokoju zwracał się do jednego z pokrzywdzonych, zatajając wymordowanie posłów europejskich: tkwi zatem w samem zwróceniu się Tsing-li-Jamenu do Francyi pośredni dowód prawdziwości depeszy amerykańskiej. Drugi warunek, nałożony przez p. Delcassego obejmuje odsunięcie od rządu tak samego ks. Tuana, jak i dygnitarzy z nim trzymających, a następnie surowe ich ukaranie. Trzeci przynosi wstrzymanie wszelkich działań nieprzyjaznych i kroków nieprzyjacielskich z wyraźnym rozkazem do wojsk, aby wrogo przeciwko cudzoziemcom nie występowały. Nakoniec domaga się p. Delcassé jak najenergiczniejszego zduszenia Bokserów i innych związków zbrojnie walczących z Europejczykami. Dopiero po uzyskaniu rękojmi na tych czterech punktach Francya mogłaby się pośrednictwa podjąć.

Czy się podejmie? Może tylko dla wyzwolenia posłów i tych, którzy jeszcze ocaleli w Pekinie. Na tym punkcie rękojmie są nietylko niewystarczające, ale nawet zbyteczne, potrzebny jest sam fakt: niech rząd chiński wyswobodzi posłów, niech im da do Tien-tsinu silną osłonę: pierwszy warunek będzie już odrazu i niewątpliwie spełniony. Lecz właśnie tu powstaje trudność. Obie strony mogą działać w złej wierze: Europa, wydostawszy posłów, może zrobić wojnę; Chiny, mając u siebie posłów, mogą ich trzymać jak zakładników dla odwrócenia wojny, a zwłaszcza pochodu na Pekin. Dlatego rozbicie stanowcze pierwszego punktu musi uprzedzić wszelkie inne usiłowania w kierunku pokoju; bez tego mogłaby być tylko fuszerka, nie robota porządna. Ale pytanie,

czy i na najporządniejszą nawet, najbardziej metodyczną, stanie powszechna zgoda. Wybór uczyniony przez cesarza chińskiego z Francyi niemiłym jest Anglii, niemiłym i Niemcom; zgodnie działać nie łatwo, gdzie niema zgodności interesów trwalszych, głębszych od interesu chwilowego odwetu, który istotnie wszystkie żądze w sobie zespala, a gdzie, przeciwnie, jest niezgodność, wzajemna podejrzliwość i patrzenie sobie na palce w rzeczywiście już trwałym i głębokim interesie—wspólnego rozbioru Chin. Powydzielane już sfery wpływów skazują z góry działania dyplomacyi na odrębność i wyłączność. Każdy będzie myślał o sobie, każdy targował i brał dla siebie i sferę wpływów zamieniał na sferę przemocy i panowania. O tem tylko wątpić nie można, że gdyby po nawałnicy, która tak nagle zahuczała, teraz zajaśniała pogoda pokoju — rozbiór Chin znalazłby się znowu na porządku dziennym Europy.

Tydzień polityczny. Powoli zaczyna się opinia w Europie pocieszać myślą, że może posłowie istotnie żyją. Najlepszym dowodem będzie ich przyjazd do Tien tsinu. Zdobycie tego miasta po całotygodniowych walkach d. 14 b. m. było głównie czynem Rosyan. Oni to porwali innych za sobą, a bezpośrednio Francuzów. Straty z całego tygodnia wynoszą 1,000 ludzi, Europejczycy zatem prawie zdziesiątkowani. Ruchów chińskich nie było; zdaje się, że posiadanie będzie aż do nowego wybuchu namiętności na całym obszarze północnym spokojne. Niemcy zmniejszają już swą załogę. Sekretarz rządu angielskiego w parlamencie, Brodrick, wyliczył wszystkie siły w d. 10 lipca w Tientsinie i Taku: najwięcej było Rosyan, wszystkiego ogółem 21,000 z górą, dział do 100. Wojska nowe ciągle przybywają, ale łagodnie; nie zanosi się wcale na to, aby do 10 sierpnia było już 85,000 ludzi, jak spodziewają się w Paryżu.

Zdaje się, że ruchy patryotyczne wogóle ustały w Chinach północnych, a Tuan traci władzę i urok. Cesarz Kuang-su żyje i cesarzowa regentka po dawnemu rządzi.

Dowodem istnienia cesarza jest jego zwrócenie się o pośrednictwo nietylko do Francyi, ale do Niemiec i Unii amerykańskiej. Sprawa ta rozwinie się w powolnem tempie, jeśli mocarstwa z góry jej nie umorzą postanowieniem tryumfalnego wejścia do Pekinu. Wszystko zależy od potajemnych układów, od ustosunkowania się Rosyi do Europy, a cesarza Wilhelma i Anglii do Rosyi. Bardzo wątpliwem jest porozumienie się Anglii z Japonią. Nawet naczelnego dowództwa japońskiego w przyszłej wyprawie Anglia popierać nie myśli.

Li-Chung-Czang został wicekrólem Czyli. Z Kantonu jest już w Pekinie. Przeznaczył go Tsung-li-Jamen do prowadzenia układów z Europą.

W Transwalu nie powodzi się Anglikom; jedna klęska po drugiej. W tydzień po dawniejszej (d. 11 b. m.) cały pociąg ze stu highlanderami wpadł w moc boerów. Na innym punkcie, w Oranii, Anglicy odparli nieprzyjaciół, ale tak skutecznie, że ci osaczyli ich i może już wzięli. Dzielnie spisuje się De Wett (Devet), prosty kolonista z lat 1879—81. Roberts chory, w sztabie angielskim zawiść. Wielki Kitchener, bezczeszczyciel grobów— straszliwie zmalał na widowni wojennej, nawet z Boerami. Roberts go nienawidzi. Partyzantka okazuje się dla Anglików zgubną: krępuje ich w wielkiej polityce; zużywa siły, nic dając korzyści. Jedna większa pomyślność boerska może zwrócić Anglię przeciw rządowi. Całe szczęście, że parlament już za tydzień pójdzie na zieloną paszę.

Sejm francuski już od tygodnia wczasów używa.

W Serbii przesilenie osobiste, rodzinne i ministeryalne. Król Aleksander, liczący 24 lata, zaręczył się z osobą 40-letnią, wdową Maszynową. Ministrowie, naganiając tę nieroztropność króla i człowieka, podali się do dymisyi; król nowych znaleźć sobie nie może. Ojciec królewski podał się również do dymisyi z urzędu najwyższego wodza. Zły jest na syna; miał dla niego lepszą partyę.

W Rumunii nowy gabinet junimisty Karpa. Finanse w złym stanie.

W Bulgaryi cicho.

ZYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Nowy atak na żywioł polski. — Dzierżawy kolonizacyjne. — Dane statystyczne. — Ludzie bez pracy. — Co to jest „niezależność.“ — Polacy kupują majątki niemieckie. — Nauczyciele w szkołach katolickich. — Teatr polski w Poznaniu.

Najwytrwalej i najdzielniej w nieustannej walce plemiennej bronią się zwarte hufce mas ludności wiejskiej. Na wielkie i średnie włości ziemskie oddawna znaleziono sposów — ponętną kasę komisyi kolonizacyjnej. Na drobne — niema dotąd środków. W wielu dzielnicach kraju stoją one murem i ustąpić nie chcą. To też rozbiegły się już niepokojące wieści o nowem prawodawstwie agrarnem, którego celem ma być wydzieranie ziemi ludowi polskiemu. Jakkolwiek prawa tego rodzaju dają pole do bezprawia, ucisku i gwałtów, dotąd jednakże niema mowy o stanowczem zabronieniu Polakom nabywania ziemi. Są tymczasem inne sposoby, prowadzące stopniowo do celu. Mianowicie, obok włości kolonizacyjnych mają powstać dzierżawy kolonizacyjne, które, według projektu rządowego, mają powstać na następujących zasadach: Znaczna część dóbr państwowych będzie rozparcelowana na gospodarstwa mniejsze, a na nich osiądą włościanie niemieccy, jako dzierżawcy. Nadto, ustawa upoważnia rząd do nabywania gospodarstw mniejszych, głównie polskich, ażeby je następnie zamieniać na domeny i oddawać w dzierżawę także Niemcom, oczywiście na warunkach jak najkorzystniejszych. Pomyślano także i o środkach specyalnych. Na zakup gospodarstw tej kategoryi zużyte będą pieniądze, otrzymane ze sprzedaży majątków nieopłacających się w prowincyach niemieckich.

Jak widzimy, nowa ustawa tworzy instytucyę pomocniczą dla komisyi kolonizacyjnej. Będzie ona wypierała z roli mniejszych gospodarzy polskich, gdy komisya, jak wiadomo, ma na celu wyzucie z ziemi właścicieli większych.

Są to szczegóły ustawy, podawane urywkowo w prasie. O innych rozbrzmiewają tylko znaczące półsłówka. Bądź co bądź, gotuje się nowy atak walki plemiennej: trzeba się więc mieć na baczności i zgromadzić siły lepsze. Czy je mamy? W W. Ks. Poznańskiem niemal z dniem każdym wzrasta proletaryat, który się rekrutuje ze wszystkich dziedzin pracy. Olbrzymio do tego się przyczynia właśnie owa walka plemienna, wypierająca zewsząd żywioł polski. Przyjrzyjmy się trochę danym statystyki państwowej („Statistik des deutschen Reiches,“ Band III, Berlin, 1899). W r. 1895 z każdego tysiąca mieszkańców w Poznańskiem wypadało na rolnictwo (wraz z leśnictwem, hodowlą bydła, rybołówstwem itd.), 593,8 osób; na przemysł 206,8, handel 73,8. Liczba pracowników rolnych zmniejsza się stale, co zresztą nie jest zjawiskiem wyjątkowem w Poznańskiem, lecz powszechnem. Ludzi

---

* * *

Moja Głogosiu, przykryjcie mi jeszcze czem nogi, bo mi strasznie zimno.

— Albo tu zimno? Pani to precz, jak pani Szczepkowska: zawsze boli, zawsze kole, tylko jeszcze tych mdłościów nie ma, co pani Szczepkowska.

— Co za pani Szczepkowska?

— Ano, czy nie mówiłam pani, ta, com u niej służyła na Wilczej. Raz jak mi się obaliła bez ramię, tom ją z ledwością do łóżka dowlekła. Wszystkie te tam mocne perfumy, co były na toalecie, tom na nią wylała. To ta podła Różka tak zrobiła.

— Jak zrobiła?

— Ano, proszę pani, wydały się te tam wszystkie jej sprawki.

— Sprawki?

— A jużci. Ledwie nastała, i trzech dni, proszę pani, nie minęło, jak pan Adam, młodszy pan, całkiem głowę stracił. Jak Różka w pokoju — panicz w pokoju, jak Różka w kuchni, to i paniczowi dziesięć interesów do kuchni wypadnie. Widać, że to są już takie kobiety, co pod taką gwiazdą się rodzą. Przystojna była dziewucha. Ale jak się tak pan Adam do tej Różki zaangażował, pani coś sobie zmiarkowała. Widać, że się pani nie podobało. Bo raz, jak panicza nie było — podałam na stół właśnie młodą marchewkę, to słyszałam, jak pani mówiła do pana: „Ja na to nie pozwolę, jeszcze tu pod moim dachem.“ A pan starszy ino się uśmiechnął pod wąsem tak, żeby pani nie widziała, bo gdyby, broń Boże, zobaczyła, to mdłościów na godzinę. Co prawda, to i mnie wtedy głowa z tego przestrachu spuchła, jak ta bania. Tak mi, widać, z tego lęku wszystka woda do głowy uderzyła.

— Z jakiego lęku?

— Ano... Przyszła ta dziewczyna, Różka ta, nastała do pani w jednej kiecowinie — jak by i ja — a klucza od kuferka to już tak pilnuje, że ani na chwilę w zamku nie zostawi. Jak czego potrzeba — wyjmie klucz z pod fartuszka, roztworzy, dobędzie, co trzeba, i znów brzdęk-brzdęk, dwa razy kluczem obróci i — pod fartuszek. Jakem to spostrzegła, takem się do tego jej kuferka zainteresowała, jakby mie kto szydłom podżegał. Ale co? Młoda jeszcze byłam. Jak się to zawalę spać, to jak ta kłoda— i do rana zapomnę. A w dzień niema czasu. I tak dotychczas by się może nie wykryło...

— A to wykryło się?

— Ano przez to, że to pani Szczepkowska precz z tymi nerwami. Ja to jeszcze wtedy głupia byłam — nie wiedziałam, co to za nerwy takie. To mi pani Szczepkowska wytłomaczyła, że to są takie sznureczki w kościach: jak się w którą stronę przeciągną, to całe ciało boli. Widać, że i ona musiała się nadwerężyć w którąś stronę, bo precz po nocach chodziła, spać nie mogła. No, a jedno przy drugiem, musiała też i tę Różkę z panem Adamem mieć na oku — kiedyś tak wieczorem woła mię pani do siebie. „Moja Marysiu — powiada — czyś ty czasem nie zauważyła, co ta Rózia ma w kuferku, bo już dwa razy przez szparę we drzwiach widziałam, jak siedziała w nocy przed roztwartym kuferkiem i płakała.“ Jakem to od pani usłyszała, ażem drygła. — Toć, proszę pani, i mnie się to dziwne wydaje, że się ona tak przede mną zamyka, jakby tam skarby jakie w tym kuferku miała. A pani na to: „Już, moja Marysiu, ja ci to poruczam, żebyś mi doszła jakim sposobem, co ona tam w tym kuferku ma.“ — Co ja będę robić — myślę sobie. Pokładłyśmy się spać. Zamkłam oczy, niby śpię. Słucham.

zarobkujących na roli było: w roku 1882 316,276, czyli 79,99%, w r. 1895 — 308,626, czyli 76,22%. Widzimy tedy, iż liczba najemników rolnych zmniejszyła się absolutnie o 9,650, stosunkowo o 3,77%. Natomiast liczba rolników wszelkich kategoryj wzrosła zarówno absolutnie, jak i stosunkowo: w r. 1882 było ich 389,322, w r. 1895 419,747. Przyczyną zmniejszenia się liczby najemników jest, jak wiadomo, tak zwane obieżysastwo. W stosunku do innych dzielnic państwa niemieckiego proletaryat wiejski w W. Ks. Poznańskiem wzrasta stale i najbardziej. Przemysł fabryczny, jakkolwiek przyciąga do siebie wielkie masy, nie może atoli dać pracy wszystkim rękom wolnym. Nadmiar więc usuwa się z kraju. Z podziału na dwie kategorye: niezależnych i zależnych widzimy jeszcze wyraźniej wzrost proletaryatu, zwłaszcza w rolnictwie. W r. 1895 było w Poznańskiem na stu: 21,45 rolników niezależnych i 78,55 zależnych, podczas gdy w całem państwie pruskiem było 21,11 niezależnych i 70,89 zależnych (na stu).

Wogóle wzrost proletaryatu czyni olbrzymie postępy. Oto liczba robotników bez zajęcia w W. Ks. Poznańskiem: d. 14 czerwca 1895 r. 2,598, d. 2 grudnia 1895 r. 5,963. Z tej liczby wypada niezajętych z powodu choroby: w pierwszym terminie 2,598, w drugim 5,963. Tym sposobem d. 2 grudnia 1895 r. było 35,000 robotników bez zajęcia. To jest armia nędzarzy, którą Niemcy wszelkimi środkami chcą powiększyć. Prowadzi do tego: wyzuwanie z ziemi, utrudnianie rozwoju przemysłu i handlu polskiego itd. Nie zapominajmy jeszcze, że suma powyższa stanowi tylko jedną kategoryę ludzi pozbawionych pracy. Jeżeli doliczymy inne, nieobjęte statystyką, to znajdziemy w Poznańskiem co najmniej sto kilkadziesiąt tysięcy ludzi, pozbawionych zarobku.

Jest jeszcze jedna, olbrzymia kategorya ludzi, którzy jakkolwiek mają zajęcie, ale ich zarobki nie wystarczają na utrzymanie, a ciężkie warunki pracy rujnują ich zdrowie i energię. Do takiego stanu rzeczy przyczynia się niewątpliwie stopień rozwoju przemysłu, a jednocześnie—urządzenia warunków społeczno-ekonomicznych. Za zasadę rozwoju przemysłu w pewnej mierze można uważać stopnie zogniskowania pracy. Ze statystyki powyżej cytowanej dowiadujemy się, że w r. 1895 istniało 31,518 zakładów, w których pracowali sami właściciele — „niezależni," bez robotników i bez motorów. Są to właściwie wszystko proletaryusze — szewcy, krawcy, łatacze, wogóle ci wszyscy pracownicy, których „niezależność" istnieje tylko na papierze statystyki niemieckiej, gdy w rzeczywistości są to pracownicy wyzyskiwani przez różnych przedsiębiorców i aferzystów. Inna kategorya zakładów, zatrudniających do 5 ludzi, to także ci sami „niezależni," borykający się z niedostatkiem i wyzyskiem. Wogóle ³/₄ robotników pracuje w drobnych zakładach i warsztatach przemysłowych. Oczywiście warunki pracy muszą być tem gorsze, a jej natężenie większe skutkiem nizko stojącej techniki. To zaś wszystko dowodzi, że przemysł w Poznańskiem nie stoi na wysokim poziomie rozwoju.

Jak widzimy tedy, reduty na wielu polach życia ekonomicznego są słabe; trzeba je wzmacniać lub sypać nowe. Przedewszystkiem należy pomyśleć o stosunkach ludności wiejskiej. Do walki z komisyą kolonizacyjną stanął Bank ziemski, a jakkolwiek walka ta nierówna, w każdym jednak razie hamuje ona poniekąd nawałę germańską. Trzeba o czemś podobnem pomyśleć dla ludu, tj. zorganizować działalność, któraby ułatwiała drobnym pracownikom rolnym nabywanie i dzierżawienie ziemi. To, co się robi dotychczas w tej mierze, jest właściwie nie czynem, lecz tylko słabem usiłowaniem wywołania czynu.

Tymczasem cieszymy się, że ten i ów Polak nabył jakieś dobra i musimy go uważać za bohatera! W ostatnich czasach kilka majątków niemieckich przeszło w ręce polskie. Wieś rycerską Kuźnicę w pow. Ostrzeszowskim (około 1.500 morgów) nabył Polak, p. Włodzimierz Graffstein z Wągrowca od Simona Fraenbla. Majątek Kamień pod Żerkowem (około 2,000 morgów) nabył p. Pleciński z Bugwidza pod Pleszowem. P. Stanisław Różycki z Zajączkowa nabył od Kampmanna majątek Jakobówko w pow. Lubawskim za 180,000 marek. Wreszcie „Spółka ziemska w Poznaniu" nabyła majątki rycerskie Żelazno w pow. Kościańskim (około 1,500 morgów) i Salin w pow. Gnieźnieńskim (1,400 mor.). Ale i komisya kolonizacyjna nie śpi. Nabyła ona spory majątek Mroczeń, dzięki temu, iż p. współzawodnik Polak, p. Trepka, nie mógł już dołożyć 1,000 marek i o tę sumę został przelicytowany. Na pociechę dorzućmy jeszcze, że śród ludu polskiego ujawnia się silna dążność do nabywania ziemi. Całe osady złożone z „huffów" (parceli kilkomorgowych) skupiają się w rękach obrotnych zamożniejszych gospodarzy. Trzeźwość i energia są to ważne czynniki, które skutecznie dopomagają im w tych zabiegach.

W ostatnich czasach słyszymy coraz częstsze skargi na brak nauczycieli katolickich w Księstwie Poznańskiem. Statystyka urzędowa wykazuje, iż w przeszłym roku przy szkołach katolickich ustanowiono tylko 1,558 nauczycieli, dzieci zaś uczęszczało 157,173. Tym sposobem na jednego nauczyciela przypada przeszło 100 dzieci. W Poznańskim obwodzie regencyjnym ustanowionych było 1,129 nauczycieli; uczęszczało do szkół 116,988 dzieci, czyli 103 dzieci przypadało na jednego nauczyciela. W pow. Średzkim przypada na każdego nauczyciela 108 dzieci, w pow. Śremskim 113, w Grodziskim 115, w Gostyńskim 120, w Szamotulskim 121, w Kościańskim 123, w Koźmińskim 129. W statystyce zaznaczono bardzo dużo szkół jednoklasowych, do których uczęszcza przeszło po 170 dzieci. To samo się dzieje nietylko w obwodzie Poznańskim, lecz także w Malborskim, Bydgoskim, Opolskim itd. Nauczyciele są przeciążeni, więc i praca ich nie może być bardzo owocną.

Teatr polski w Poznaniu jest obecnie kością niezgody śród inteligencyi miejscowej. Edmund Rygier, dyrektor teatru, postanowił przedewszystkiem dać sztuce podstawy materyalne. W tym celu, nie poprzestając na bardzo szczupłej garstce miłośników sceny, którzy wybornie oceniając sztuki, pozwoliliby umrzeć aktorom z głodu, postanowił teatr zdemokratyzować: udostępnić go szerokim acz mniej wybrednym masom ludności miejscowej. Jakoż demokratyzacya sztuki zdobyła ogromne powodzenie. Repertuar urozmaicono, zaczęto dawać sztuki ludowe, rzucane grubymi rysami, jak się rzuca na płótno sceny z pisma świętego do kościołków wiejskich. Lud rzemieślniczy zaczął wypełniać teatr—jak mówią reporterzy— po brzegi, p. Rygier zacierał ręce, aktorzy mieli nietylko na buty z nowemi podeszwami, które trzeba pokazywać publiczności ze sceny, ale nawet na bułki do herbaty i, o zgrozo, czasem na bifsztyk z piwem. Taki dobrobyt aktorów nie może ujść bezkarnie. Sztuka jest kapłanką idealną, aktor po to jest stworzony, ażeby się karmił tylko swoją rolą, ażeby rzucał morały publiczności, jako reproduktor sytego lub głodnego autora i wyciskał łzy publiczności, ocierane potem wytworną serwetką restauracyjną w gabinecie. Nie podobała się smakoszom sztuka, więc wszczęli gwałt okropny. Pierwszy zabrał głos p. Więckowski, dyrektor Banku przemysłowego; na-

---

Wstaje moja Rózia cichutko, zapala lampę i — do kuferka. Ale, że leżałam głową do kuferka, więc-em nic dokumentnie zobaczyć nie mogła. Tak ino zdziebko się poruszyłam, a ona trach! kuferek zamkła, lampę zgasiła i już nawet do łóżka nie idzie, jeno tak przykucnęła na podłodze, siedzi. Co ja tu będę robić? Wstałam raniutko i lecę tam do jednej. Pani Mętlewska. Tercyanką była. — Nie macie tam dla mnie czego na sen? Jak usłyszała, o mało że ze stołka nie spadła. „A dajcie mi spokój, czy ja się będę w te wasze sprawy wdawać. Abo ja chcę, abo mi potrzeba! Nie mam nic na sen." — Ale moja pani Mętlewska, ale moja złociuchna. — Jakem się uczepiła, nie odeszłam, aż mi dała. „Kupisz, powiada, butelkę piwa i z piwem rozmieszasz." Ano, dobrze. Kupiłam. Wieczorem Rózia poszła panią rozbierać, a ja tu piwo fabrykuję. Ale jakem tylko wsypała do butelki, piwo się nic-warte zrobiło. Co ja tu będę robić? — myślę. A tu słyszę, że już idzie — Różka wraca od pani. Nic wiele myśląc, zatknęłam butelkę, buch, buch, butelką w pierzynę, aż korek wywaliło. — No, panno Róziu, napijemy się piwka. Ona się tak skrzywiła, jakby coś przeczuwała. — Jakie to musujące, widzi panna Rózia. Wypiła. Ja, com ino kapichnę przełknęła, zaraz mi się we łbie zamroczyło, a ona jak padła na łóżko, tak zasnęła. Dobrze nawet ją targałam, zanim klucz znalazłam. Zapalam lampę, otwieram ten jej kuferek. Odrazu jakiście zaduch buchnął stamtąd. Ale nic—na wierzchu żakiet, tam pod spodem te jej kiecowiny, a w samym już spodzie pudełko. O Jezu mój!... Długie pudełko tak ślicznie wyklejone. Musi, że obstalowała je umyślnie, bo trudno powiedzieć, po czem by było. Otwieram to pudełko... i ażem krzykła, aż na mię mdłości uderzyły. Trupek był, dziewczynka, a na tym pośladeczku to jeszcze miętkie mięso miało. Tak ubrana, jak do pogrzebu. Sukieneczka na niej śliczna, niebieską wstążeczką przepasana. Mój Boże! Lecę do pani. Pani jeszcze nie spała.— Proszę pani, o dla Boga, niech się pani pofatyguje. Jak pani Szczepkowska na ten cały kram spojrzała — bom tak zostawiła roztwarte — tak mi się bez ramię przewaliła. Wtedy to na nią, com już pani mówiła, wszystkie te mocne perfumy wylała. A Różka śpi, nic nie słyszy. Wzięłam jej wszystko w kuferku ułożyła, jak było — to to pudełko, tę niby trumienkę przykryłam temi tam kiecowinami i żakietem, zamkłam, klucz jej znowu pod siennik, tak jak było i ległam spać. Ale spać, tom nie spała aż do rana, ino jakaś fybra mi po skórze bez całą noc latała. Rano woła mię pani do siebie: „Słuchaj, Marysiu, nie mów nic Różce, już ja się sama z nią rozmówię." Co miałam mówić? I tak aż do obiadu pani w łóżku leżała. Po obiedzie woła Różkę do siebie. A Różka, jak zawsze: „co, proszę paniuchny," „co paniuchna rozkaże." Ani się domyśla. A pani prosto do niej: „coś ty, łajdaku, gałganie jeden zrobiła, coś ty zrobiła?" A ona nic: „Co, proszę paniusieczki, co miałam zrobić? Nie przecież złego nie zrobiłam." A pani na to: „A co ty tam masz w kuferku, łajdaku jeden, coś zrobiła?" Moja Rózia plac! przed panią na kolana: „proszę pani, niech mi pani przebaczy, wiernie pani będę całe życie służyć, całe życie będę uczciwa, niech mi pani daruje." A pani ino precz: „Cóżeś zrobiła? Udusiłaś to dziecko! Powiedz, udusiłaś?" Na to Rózia wstaje z ziemi i powiada: „Udusiłam. Trudno, stało się. Co się miało stać w innym obowiązku, u pani się stało. Nie pani by wykryła, to jaka inna. Stało się — powiada. Udusiłam dziecko." A na twarzy, to nie płacze, tylko jej takie czerwone i białe placo powystępowały. A pani: „pocóżeś udusiła dzieciaka, szelmo jedna?" „Udusiłam, powiada, bo nie chciałam ro-

zwał on scenę budą jarmarczną. Niechętni i wrogo usposobieni dla teatru zdemokratyzowanego nie zasypiali gruszek w popiele. Korzystając z nieobecności p. Rygiera, zwołali zebranie ogólne i na niem nie oszczędzili nieobecnego p. Rygiera, który nic o tem nie wiedząc, zabawiał i rozrzewniał publiczność w Ciechocinku. Dalej sprawa przybiera inny obrót i rozpoczyna się już tak zwana kryja dziennikarska. *Dziennik Poznański* bardzo skrzętnie podaje zarzuty, czynione p. Rygerowi, lecz pomija prawie zupełnie milczeniem słowa jego obrońców. Dopiero list p. Rygiera, ogłoszony w *Kuryerze Poznańskim* i *Orędowniku*, wyjaśnia sprawę i rzuca smutne światło na reporteryę miejscową. Stąd sens moralny: kto chce uczciwie pracować, kto chce iść prostą drogą, musi wpaść w bagnisko.

et.

Z NIEMIEC.

Berlin, 24 lipca.

W roku 1889-ym zaszło słynne bezrobocie w górniczym okręgu westf... reńskim, podczas którego cesarz Wilhelm zaprosił do dworu deputacyę górników. W 1890-ym roku zaś rząd przedstawił sejmowi rzeszy ustawę, która między innemi wprowadza sądy przemysłowe, pośredniczące bądź z własnej inicyatywy bądź na mocy prośby jednej z zainteresowanych stron w zatargach pomiędzy pracodawcami a robotnikami. Już w 1893 r. państwo niemieckie liczyło 199 takich sądów, a należy pamiętać, iż powstają one po większej części nie przymusowo lecz pod naciskiem potrzeb miejscowych. W 1896 r. istniało już 284 tych instytucyj w Niemczech, obecnie zaś liczba ich przekroczyła trzecią setkę. Niema ani jednego miasta o 50 tys. mieszkańców, które nie miałoby własnego sądu przemysłowego, a do wyjątków należy zaliczyć miasta mniejsze, które nie doznałyby dobrodziejstwa opisywanej przez nas instytucyi. Przeszło 16 mil. osób podlega obecnie jej jurysdykcyi. Co rok lub jak to się dzieje na prowincyi, co 2—3 lata rozlepia rada miejska ogłoszenia, zwołujące zarówno robotników jak przemysłowców do wyboru ławników, których jedna połowa pochodzi ze sfery najmitów, a druga ze świata fabrykantów. Wybory te są dokonywane drogą bezpośredniego i tajnego głosowania. Sposób mianowania ławników nie z ramienia rządu lecz za pomocą głosowania obu zainteresowanych obozów oraz jednakowy udział pełnomocników tych ostatnich w wyrokowaniu należą do najszczęśliwszych pomysłów w historyi prawodawstwa społecznego. Dzięki temu właśnie sądy przemysłowe stanęły raz na zawsze po nad zwaśnionemi grupami społecznemi i zyskały sobie nieograniczone zaufanie społeczeństwa. Przyczyniła się do ich popularności również prostota i szybkość procedury, możliwa wskutek odrzucenia zbytecznej formalistyki, tamującej bieg sprawy. Statystyka wykazuje, iż 90% wszystkich spraw doczekało się wyroku w przeciągu jednego tygodnia, podczas gdy w 56% wypadków zapadła decyzya w jeszcze krótszym czasie. Łatwo tedy zrozumieć, iż instytucya ta jest w istocie faktem epokowym nietylko w dziejach pracy zarobkowej, ale i w dziedzinie prawa.

Odnośna ustawa zawiera co prawda liczne usterki. Ustawa upoważnia sądy przemysłowe do przedstawiania memoryałów rządowi, ale przemilcza o tem, w jakich wypadkach rząd jest obowiązanym brać je pod uwagę. Od lat kilku istnieje „Związek niemieckich sądów przemysłowych,“ mający między innymi na celu wymianę doświadczeń, ujednostajnienie procedury i prowadzanie ogólnej statystyki. Związek wydaje własny organ p. t. *Das Gewerbegericht.*

Jakkolwiek wyroki trybunałów przemysłowych nie posiadają mocy obowiązującej, to jednak bijąca w oczy i zagwarantowana ich organizacyą aureola bezstronności nadaje ich werdyktom powagę moralną. Wskutek tego te osoby, które zapozwane przed forum przemysłowe, nie przyjmują ich pośrednictwa, z góry kompromitują siebie w oczach opinii publicznej. Należy przyjąć pod uwagę, że sądy przemysłowe wiele korzyści przyniosą podczas strejków lub odwrotnie, w wypadkach bojkotowania robotników przez przedsiębiorców. Zarówno sprawy jednego jak drugiego rodzaju budzą niezwykłe zainteresowanie otoczenia, a strony walczące muszą skwapliwie wystrzegać się, aby nie być podejrzewanemi o złą wolę. Jednocześnie przedsiębiorcy, spotykając się tu stale ze stroną przeciwną, mogli naocznie przekonać się, jak wysoką etyczną i pedagogiczną wartość posiada organizacya zawodowa dla pracowników. Społeczeństwo zaś, przyglądając się działalności tych wzorowo funkcyonujących „sądów pokoju,“ przyszło do przekonania o konieczności analogicznej instytucyi pokojowej w większym zakresie. Mam na myśli izby robotnicze, w której to kwestyi opracowuje się obecnie ustawa rządowa. Ba! Sądy same zrobiły krok dalej, ogłaszając niekiedy pod swoim dachom publiczną cedułę poszukiwania pracy, a nawet urządzając biura informacyjne we wszelkich kwestyach najmu. Przedstawiony rządowi wniosek sejmu rzeszy o państwowym „Urzędzie pracy“ w rodzaju słynnego angielskiego departamentu „of Labour,“ obiera wprost za punkt wyjścia sądy przemysłowe.

Przedewszystkiem zaś omawiana reforma stworzyła epokę w dziedzinie prawa, dotyczącego umowy pracy. Sądy przemysłowe dopiero wydobyły na światło dzienne dyskusyi naukowej kwestye traktowane dotychczas ryczałtowo, jako to: płaca akordowa, płaca od sztuki, dzień obrachunkowy, dzień wypłat, statuty fabryczne, obowiązki majstrów pośredniczących itd. Teraz dopiero zrozumiano, jak niefortunnie zostały dokonane niektóre uogólnienia, zacierające różnice zasadnicze co do społecznego stanowiska stron. Jakie owoce wydały sądy przemysłowe, najwyraźniej rzuca się nam w oczy, gdy widzimy, iż obecnie ich śladem i według ich wzoru mają być powołane do życia sądy rozjemcze dla handlu i rolnictwa.

H. F.

WYSTAWA PARYSKA.

Kongres kobiecy.

(Dokończenie).

W sekcyi II, *prawnej*, zajmowano się kwestyą reformy francuskiego kodeksu cywilnego (równouprawnienie matki, zdolność małżonki do rozporządzania własnym majątkiem, oraz dopuszczenie kobiet do rad familijnych i opieka nad małoletnimi). Zmianę kodeksu uważali za zupełnie racyonalną profesorowie prawa Charmont i Michel, adwokaci Bonzon, Leduc, Reville i panna Chauvin (pierwsza we Francyi doktorka praw), a przy tej sposobności panie Theimer i dr. praw Augspurg, zapoznały z odnośnem prawodawstwem austryackiem i niemieckiem, a pani Schmid-Jaeger przedstawiła projekt kodeksu szwajcarskiego, wypracowany przez prof. Hubera, który właśnie

---

bić wstydu sobie i... jemu.“ — „A czyjeż to dziecko?“ — Różka nic, milczy. „Czyje dziecko?“ — pyta pani. Różka nic — milczy. „Czyjeś dziecko udusiła, hyclu jeden?“ — pyta pani. A Różka powiada: „Przecież pani wie, że nie u pani się stało.“ A pani aż podskoczyła. „Wiem, powiada, że nie u mnie, ale zgorszyłaś pewnie cudze dziecko, to możesz i moje tak samo do złego namówić. Czy myślisz, że cię trzymać będę? Oddam cię, oddam do policyi, galganie jeden.“ Różka nic. „Cóż, powiada, trudno, stało się. Niech mnie pani oddaje.“ — Ale po chwili to pani tak jakoś zmiękła i powiada: „A dlaczego żeś tego nie wyrzuciła... Dlaczego tak włóczysz to za sobą? Czyś ty potem miała jeszcze jaki obowiązek?“ - „Już ósmy mój obowiązek — mówi Rózia — ale mię precz gonią: a to zaduch z kuferka, a to, że go zamykam, precz ze mną się kłócą. Gdzie przyszłam, zaraz poszłam...“ — A no juści, proszę pani, tak choćby, jak i ja, czy mogłam ścierpieć, że się ona tak przede mną zamykała. — „No, a pocóż to włóczysz za sobą? Czemu nie pochowasz?“ —pyta znów pani. A Różce te czerwone płace z twarzy zeszły, ino blada, jak ta wapnowana ściana. „Z początku, powiada, to się bałam, bałam się, żeby mię nie złapali. A teraz to już nie mogę... Co wieczór nie mogę... już nie mogę...“—tak się, biedactwo, przed panią tłomaczyła, aż łzy z jej oczu na podłogę jak groch padać zaczęły. Już ją o nic więcej pani nie pytała, kazała jej iść do kuchni... Ale czego się pani w pokoju nie dowiedziała, tom ją tak w kuchni wybadała: przyznała mi się, że gdzieś tam w jakimś obowiązku z paniczem to dziecko miała, że panicz pojechał, na jakieś tam najwyższe kursa do Petersburga pojechał.

— No i cóż?

— A no — nic. Powiedział, że jak wróci, to się z nią ożeni.

— I cóż?

— A cóż... Pani Szczepkowska Różkę wygnała, precz się o pana Adama bała.

— Cóż się z Różką stało?

— A no — nie wiem. Już przecie z dziesięć lat z tym koszem do miasta chodzę, na wszystkie te warszawskie targi chodzę, alem jej nigdy nie spotkała. Musi, że na wieś poszła. Pani Szczepkowska jej radziła, żeby to dziecko pod figurą zakopała. Może, że i posłuchała. Może też i wybrała sobie jaką nockę ciemną, nie-miesięczną— z gwiazdami ino, i posunęła w tym mroku z tą swoją tramienką... A co pani sądzi? Pan Jezus, osobliwie ten, co przy drodze— to wszystko przyjmie. Mało to różnego narodu bez szosę przewali: różne zbóje i gałgany. A pan Jezus przecie na wszystkich patrzy. Tak i ta Rożka. Wygrzebała sobie na to swoje dzieciątko jamkę pod figurą i pogrzebała..

. . . .

Już potem pani to same stare baby na „młodsze“ brała. A pan Adam — to okrutnie był zły. I co się z Różką stało i co się stało — precz mię pytał. „Taka była milutka, taka zręczna. Mama to nigdy porządnej służącej utrzymać nie może. Wciąż mi tam tylko te stare żaby po podłodze się czołgają.“ I znów: „Dlaczego mama Rózię odprawiła? No, powiedzcie mi, moja Głogowska.“ — Jak mi tak dokuczył, tom mu tak rżnęła: „Pewnie mamusia widziała, jak się pan z Różką całował.“ A on na to: „Dalibóg, jak Boga kocham, tylkom ją raz pocałował.“ A ja mu: „Musi, że i ten raz mamusia zobaczyła.“ — A, okrutnie pan Adam był zły.

Mar. St.

proponuje wszystkie pożądane dla kobiet reformy.

Za to kwestya dochodzenia ojcowstwa, a raczej, wedle brzmienia programu, „odpowiedzialności pieniężnej mężczyzny względem kobiety i dziecka po za małżeństwem,“ jako natury bardzo ogólnej, obudziła żywe zainteresowanie. Tu wystąpiły do walki dwa obozy: jeden, żądający zniesienia owego art. 340 („dochodzenie ojcowstwa jest wzbronione“) w imię moralności i potępienia doli kobiety uwiedzionej oraz jej dziecka — drugi przez usta pani Pognon, przewodniczącej Ligi praw kobiecych, dowodził, że dochodzenie ojcowstwa jest rzeczą zbyt upokarzającą kobietę, a celu właściwego nie osiągającą. Dyskusya była burzliwą i zebranie przechylało się to na tę, to na drugą stronę, stosownie do tego, kto opuszczał mównicę. Ostatecznie poddano pod głosowanie wniosek panny Chauvin, sformułowany prawdziwie po adwokacku, ale właśnie dlatego dla ogółu niezrozumiały. Żądała ona nie zniesienia art. 340, a modyfikacyi w następującym sensie:

„Dochodzenie ojcowstwa pozostaje wzbronionem odnośnie do uznania przez ojca dziecka naturalnego, ale dozwolonem jest, gdy chodzi o wylegitymowanie się w prawach sukcesyi. Matka może dochodzić ojcowstwa w imieniu dziecka w celu otrzymania alimentów aż do pełnoletności tegoż, a w imieniu swojem może domagać się odszkodowania.“

Ta adwokacka gmatwanina nie przemawiała do przekonania słuchaczek, nie chciano głosować nad wnioskiem niedostatecznie jasnym i domagano się oddania samego art. 340 pod głosowanie. Tutaj wytoczył swoje *liberum veto* komitet.

Do sekcyi II zaliczono też kwestyę prostytucyi. Cenne referaty dr. Fiaux, byłego ministra Yves Guyot'a, Morsiera i adwokata Bela wykazywały całą bezzasadność i krzyczącą niesprawiedliwość prawodawstwa wyjątkowego względem kobiet, a panna dr. Pappritz zapoznała z tem, co w kierunku zniesienia owego prawodawstwa robi się w stowarzyszeniach kobiecych w Berlinie. Pani Pognon w dosadnych słowach porównała kobietę, którą nędza pcha do frymarczenia ciałem, narażą na choroby zakaźne, wzgardę ludzką i prześladowanie, z mężczyzną, który ją kupił, wraca w progi ogniska domowego z głową dumnie podniesioną, ma zapewnioną bezkarność i szacunek ludzi, a w dodatku nie może być pociągnięty do odpowiedzialności za szerzenie zarazy.

Wniosek za zniesieniem ordynacyj prawno-policyjnych, regulujących prostytucyę, przeszedł jednomyślnie bez najmniejszej dyskusyi. Odmienne jednak zapatrywania zarysowały się w kwestyi represyi prawnej: jedni bowiem z Yves Guyot'em i Morsierem dowodzili, że prostytucya nie powinna być zaliczoną do przestępstw kodeksom karnym objętych, uważać ją bowiem należy jedynie za sprawę sumienia. Walczyła przeciw temu gorąco pani Bieber-Böhm, przewodnicząca stowarzyszenia „Jugendschutz“ w Berlinie, żądając, aby państwo było stróżem moralności i karciło prostytucyę. Teorya ta jednak mieszania się państwa w sprawy prywatne nie zyskała zwolenników i ostatecznie przyjęto wnioski następujące: 1) Sam czyn prostytucyi jest rzeczą sumienia i nie stanowi przestępstwa w znaczeniu prawnem. 2) Państwo ograniczyć się winno do opieki nad nieletnimi obojga płci i pociągać do odpowiedzialności jedynie za czyny przewidziane w kodeksie karnym. 3) Żadna kobieta nie ma podlegać przymusowemu badaniu lekarskiemu pod pozorem obyczajności.— Zasługuje jeszcze na wzmiankę referat pani Scheven, zapoznający z działalnością kobiet w Dreznie w kierunku umoralnienia kobiet upadłych.

W sekcyi III, *pedagogicznej*, kwestya wychowania chłopców i dziewcząt ujętą została we wniosku za zupełnem ujednostajnieniem zarówno wykształcenia, jak i wychowania w szkołach elementarnych. Co do zakładów średnich, postawiono wniosek, aby wychowanie miało na celu wyrobienie woli i swobodny rozwój indywidualności dziewczynki. Odnośnie wyższych zakładów naukowych wyrażano żądanie, aby wszystkie stały się dostępne dla kobiet. Wreszcie przeszedł również, aczkolwiek chłodno przyjęty, wniosek o wychowaniu wspólnem obojga płci.

Sekcya IV, *pracy*, rozpatrywała ważną i zawiłą kwestyę zasadniczą, czy praca kobiet ma podlegać opiece prawnej, czy też powinna być wolną od wszelkich ograniczeń. Już w r. 1889 kongresy kobiece wyraziły się przeciw prawodawstwu ochronnemu względem kobiet, dowodząc, że takowe wyrządza im wielką krzywdę. Obecnie zabierali głos w tej kwestyi: Fr. Passy, Le Foyer, panie Marya Martin, Plumtre, Rupertus, Theimer, Mackenzie, Meyer. Nic dziw, że zasada wolności pracy, wobec tak licznych jej obrońców, poddana pod głosowanie, przeszła odrazu niemal jednomyślnie. Gdy jednak dni następnych zgromadzenie słuchało referatów dotyczących poszczególnych kwestyj fachowych, gdzie referent lub referentka występowali z wnioskiem domagającym się opieki państwa, to niejednokrotnie odczuwano, że z łatwością zgromadzenie zgodziłby się mogło na poszczególny wniosek w zasadniczej znajdujący się sprzeczności z wnioskiem ogólnym. Ale od czegóż czujne oko zarządu? Żaden z tych nowoczesnych wniosków nie przeszedł.

Doniosłą kwestyę podniosła pani Avril de Sainte Croix (Savioz) o konkurencyi szkolnej, jaką wytwarzają robotnicom klasztory, więzienia i wszelkie filantropijne domy zarobkowe, obniżające płacę. Przyjęto wnioski: 1) aby kobiety zajmujące się filantropią nie traciły z oczu kwestyi społecznej; 2) aby ustanowioną została płaca minimalna i 3) aby płaca ta była jednostajną zarówno dla robotnic pozostających na wolności, jak i tych, które odsiadują więzienia, z tą jedynie różnicą, że tym ostatnim potrąconoby z zarobku koszty utrzymania.

Pani Furth z Frankfurtu nad Menem nadesłała ciekawy referat, dotyczący położenia robotnic w Niemczech; wykazuje ona braki prawodawstwa fabrycznego, domaga się, aby było więcej kobiet-inspektorek (obecnie bowiem na 300 mężczyzn jest zaledwie 4 kobiety) i nawołuje do organizowania związków zawodowych.

Pani Vincent, reprezentująca stowarzyszenie feministyczne „Egalité,“ przedstawiła referat o położeniu sług, domagając się organizacyi bezpłatnych biur rekomendacyi; aby każda służąca otrzymywała książeczkę zawierającą wszelkie przepisy prawne jej dotyczące oraz adresy przytułków, do których w razie braku miejsca mogłaby się udać; aby miała pokój zdrowy i żywność dostateczną, godziny wolne i dni wypoczynku; wreszcie aby dla tej kategoryi pracownic istniały jak dla innych zawodowe sądy rozjemcze (Conseils de prud'hommes), oraz aby inspekcya hygieniczna czuwała nad warunkami ich pracy.

Wnioski te nie cieszyły się powodzeniem. Opis złej doli sług uważano za przesadny, a żądania — za niedające się zastosować w praktyce. Pani Pognon wystąpiła w obronie pań, dowodząc, iż los służącej bynajmniej złym nie jest, bo jeśli nawet istnieją złe miejsca, to przecie służącej przysługuje prawo porzucenia owego domu. Przemówienie to przyjęte było oklaskami.

Pani Vincent przedstawiła jeszcze inną pracę, dotyczącą robotnic, wyrabiających *en gros* odzież gotową. Jest to kategorya pracownic nadmiernie wyzyskiwanych. Zakończyła wnioskiem zabronienia pracy nocnej, zniesienia pracowni w piwnicach.

Zaznaczyć należy, że zamanifestowały swe istnienie niedawno powstałe syndykaty kobiece, a mianowicie stenografek, zecerek, kwiaciarek, buchalterek i pracownic igły, ale jako organizacye młode nie nie miały ciekawych szczegółów do zakomunikowania.

Sekcya V, *nauk, sztuk i literatury*, nie mniejszą cieszyła się obfitością referatów, i tak: pani dr. Edwards-Pilliet dała rys historyczny kobiety w medycynie z ostatnich lat 50-ciu; dr Garret Anderson mówiła o lekarkach angielskich; d-rka Conta o rumuńskich; pani Archangielska — o rosyjskich: d-rka Bonsignorio — o położeniu kobiet-doktorek we Francyi. Tu też znalazły miejsce referaty pani Debor i doktorki Gaboriau, wykazujące konieczność uczenia hygieny w szkołach i po wsiach, jako też sprawozdanie pani Salvador o założonej przez nią szkole infirmerek. Udział kobiet w sztukach przedstawiony był przez hrabinę de Maupeou, udział Amerykanek w literaturze — przez panią Eckert Laurence: pani Themer zapoznała z twórczością kobiet w literaturze austryacko-niemieckiej, pani Dauderau mówiła o kobiecie kanadyjskiej, pani Yunge— o Rosyankach w sztuce, pani Nieczajew i Tarnowska nadesłały referat o wyższem wykształceniu kobiet w Rosyi, wreszcie pani Mitrofanow rozwodziła się nad udziałem Polek w nauce, literaturze i sztuce.

Po za tem było jeszcze mnóstwo innych referatów...

Nakoniec nadmienić wypada, że byłyśmy podejmowane w Palais de la Femme i w Ratuszu.

Iza Zielińska.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Nowy pomysł maligny.

Nasza dziennikarska maligna, bredząca ustawicznie coraz nowe i coraz fantastyczniejsze pomysły, zrodziła projekt „przeniesienia“ Ogrodu Pomologicznego z Warszawy do Rakowca. Naturalnie ojcom tej oryginalnej idei zdaje się, że „przenieść“ ogród — jest to wynająć jeden z wielkich wozów, które widujemy na ulicach Warszawy podczas przeprowadzek, zapakować weń drzewa, wywieść, posadzić na nowem miejscu — i basta! Ani im do głowy nie przychodzi, że takie przeniesienie równałoby się w znacznej części zupełnemu zniszczeniu kilku tysięcy drzew, które dla dojścia do obecnego stanu potrzebowały wielu lat, nakładów i starań.

Zachodzi wszakże pewien wzgląd, który temu projektowi służy za okoliczność łagodzącą. Założenie publicznego ogrodu pomologicznego w dużem mieście, na drogiej ziemi, kosztem bardzo poważnych i ciągłych wydatków wtedy tylko może mieć sens i cel, jeżeli za tę cenę stwarza się instytucya użyteczności publicznej, mianowicie wielkie doświadczalne laboratoryum pomologiczne, w którem prowadzone są ściśle badania i gromadzone spostrzeżenia, mogące nauczyć: jak się zachowują rozmaite odmiany drzew owocowych w naszych warunkach klimatycznych, jakie należy usunąć a jakie rozpowszechniać itd. Tymczasem o podobnych badaniach i spostrzeżeniach w warszawskim Ogrodzie Pomologicznym nic nie słyszymy, a przynajmniej nie ogłosił on dotąd ani

jednego sprawozdania, świadczącego o takiej pracy. Jeżeli więc on ma istnieć jako gaik bezużyteczny (bo nawet dla przechadzek tylko częściowo otwarty), jeżeli ma być kosztownym zbytkiem miasta, to rzeczywiście lepiej go na opał wyciąć, a plac sprzedać. Będzie to okrutne, ale przynajmniej praktyczne. Miasto zyska kilkadziesiąt sążni drzewa i miliony rubli z gruntu pod budowę domów. Wprawdzie ogrodu pomologicznego w znaczeniu społecznem nie będzie miało, ale go i dziś nie ma. Więc co straci? Fikcyę? Ach, dosyć już tych fikcyj!..

Do naśladowania.

Przed kilku tygodniami Polacy leczący się w Karlsbadzie przystąpili do zrealizowania myśli ulubionej dr. Stichego. Że zaś ten ostatni spełnić jej nie zdążył, tedy obecne wysiłki grona dobrze myślących kuracyuszów mają zawrzeć zarazem akt uczczenia pamięci przedwcześnie zmarłego lekarza. Oto — postanowiono zająć się losem licznych rzeszy biedaków, szukających rady na bóle swoje w zdrojach Karlsbadzkich w ten sposób, aby „Kasa karlsbadzka“ zorganizowała pomoc dotychczas udzielaną doraźnie i często niesłusznie wyzyskiwaną. Dotychczas sprawa znajduje się jeszcze w zaląźku, ale zdaje się, że gdyby każdy Polak zamożny, leczący się w Karlsbadzie złożył tego tylko lata niewielki datek, kapitał żelazny udałoby się zebrać w tym jeszcze roku. Ofiary przyjmuje rotmistrz Kołaczkowski stale mieszkający w Karlsbadzie. Pomyślmy tylko, ile pieniędzy pozostawiamy corocznie w „badach“ zagranicznych. Niechże drobna przynajmniej cząsteczka tych bajońskich sum spłynie do pustej kieszeni nędzarzy polskich. I dlatego sądzilibyśmy, że za przykładem Karlsbadu powinni iść kuracyusze nasi leczący się stale po innych „kurortach“: Maryenbadzie, Zoppotach, Kołobrzegu i t. d. *A bon entendeur salut!*

Wracając do Karlsbadu i dr. Stichego zaznaczyć należy, że bibliotekę swoją zapisał on kuracyuszom, i że wykonawca jego woli pan B. z Warszawy uzyskał już zgodę zarządu miejskiego na przyjęcie tego cennego księgozbioru, który ustawiony będzie w czytelni miejskiej obok biblioteki im. Mickiewicza.

Westchnienie białych murzynów.

W pierwszym numerze *Gońca handlowego* znajdujemy namiętne westchnienie murzynów kantorowych do wypoczynku letniego. „Kto z nas nie pragnie wydostać się na swobodę, zaczerpnąć ożywczego tchnienia gór, lasów i łąk, wzmocnić serce i umysł! Szczęśliwym może się nazwać ten, komu wyrozumiały pracodawca odpocząć pozwoli; tu jednak i ten ostatni plony swej przenikliwości zazwyczaj zbiera, gdyż po za małą ofiarą w wynagrodzeniu szef zyskuje po pewnym czasie wypoczętego, świeżego i pełnego energii pracownika. Z tem większą intensywnością, gorliwością i zamiłowaniem bierze się taki „urlopnik“ do pracy i stokroć swoją krótką nieobecność wynagradza.“

Pismo, skąd zapożyczamy powyższą notatkę, nazywa siebie organem „pracowników handlowych,“ nic tedy dziwnego, że kruszy kopie w obronie najsłuszniejszej pod słońcem, dla każdego *a priori* zrozumiałej, oczywistej prawdy! Tylko ci, do których ostatnie, a właściwie jedyne słowo należy, nie widzą i nie słyszą. W razie potrzeby, jak słusznie zauważył Junosza w „Pająkach,“ mają „feler na ucho.“ Czy to nie jasne, że organizm zmęczony nie może działać sprawnie, a że wypoczęty może dwa razy więcej zdziałać, niż zmęczony. O tyle jest to oczywistem, o ile dwa razy dwa czyni cztery. Aliści w życiu często dwa razy dwa nie daje czterech, jeno trzy, albo... lampę. W wielkich magazynach paryskich, londyńskich, berlińskich, amerykańskich — pracownicy korzystają z urlopu miesięcznego; „interes“ jakoby nic na tem nie stracił. Cóż stąd: to swoją „szosą,“ jak mówią cykliści, a my swoją.

Nowe pisma.

Prócz *Gońca handlowego*, o którym wspominamy powyżej, katalog naszego czasopiśmiennictwa pozyskał świeżo dwie nowe pozycye: jedną naukową, drugą teologiczną. P. Peszke, inżenier, uzyskał koncesyą na wydawnictwo tygodnika *Przegląd chemiczny*. Przed kilku miesiącami toczyły się gorące rozprawy nad brakiem u nas specyalnego organu chemicznego w sekcyi technicznej Towarzystwa przemysłu i handlu. Chemików mamy już wielu i to liczne rzesze szukać muszą dotychczas nauki po czasopismach niemieckich, francuskich albo angielskich. Potrzeba organu własnego leży na dłoni: współpracowników chyba nie powinno zabraknąć; byt materyalny będzie prawdopodobnie zapewniony. Witamy tedy nowy przybytek wiedzy specyalnej, życząc tylko *Przeglądowi chemicznemu*, aby szczęśliwie przepłynąć umiał między Scyllą i Charybdą elementarnej służby praktycznej, służby na dworze Mammona, unosząc ze sobą może nieskończenie mały dorobek kryształowy czystej wiedzy, teoryi, filozofii chemii. Nie powinniśmy wstydzić się przed Europą, licząc takich ziomków-chemików, jak Nencki, jak Leon Marchlewski. Pismo p. Peszkego miałoby według nas racyę bytu o tyle, o ile potrafiłoby te rozrzucone siły zebrać, rozsiane w przestrzeni promienie zogniskować, zatomizowaną masę wysiłków zorganizować. I w tej myśli śłemy mu — szczęść Boże!

Do zupełnie innej dziedziny należy drugi organ, który wydawać będzie ks. Zygmunt Chełmicki, publicysta i współpracownik *Słowa*. *Biblioteka dzieł chrześciańskich*, miesięcznik ilustrowany, obejmować będzie prace z zakresu literatury teologicznej, kaznodziejstwa, estetyki i archeologii kościelnej itd. Za granicą, w krajach katolickich, we Francyi, Włoszech wydawnictwa podobne nie są wcale rzadkością. Nic oryginalnego w tym względzie wydawca nie stworzy. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że na założeniu *Biblioteki* stracą różnorakie organy, którym ona współpracowników, czytelników i prenumeratorów odciągać zwolna zacznie. *Przegląd filozoficzny* straci protektorów na ambonie, a on specyalnie zyskuje doskonałą sposobność odstąpienia swojej niefortunnej „Neo-Scholastyki“ Ojca Mercier właściwszemu wydawcy.

BADANIA NAUKOWE.

POPRZEDNIK GUTENBERGA W CHINACH.

Tasę w ostatnich czasach naczytaliśmy się i zapewne naczytamy się jeszcze o „barbarzyństwie“ Chińczyków. Niechże nam wolno będzie, choćby dla kontrastu, rzec znowu słów kilka o kulturze tych „barbarzyńców.“ Może takie wyłączenie się z „koncertu“... prasy warszawskiej poczyta nam czytelnik za zupełny brak słuchu. Trudno. Nie jesteśmy bardzo muzykalni. Mamy natomiast słabość do starej „mistrzyni życia“ — historyi, i to nas właśnie skłoniło do grzechu i to bardzo ciężkiego. Pragniemy bowiem, ni mniej ni więcej, tylko zakwestyonować pierwszeństwo gutenbergowskiego wynalazku i to na korzyść właśnie jakiegoś „barbarzyńskiego“ Chińczyka.

Paryska biblioteka narodowa posiada niezmiernie ciekawy rękopis chiński, sięgający połowy wieku jedenastego, w którym znajduje się wiadomość o początku drukarstwa w Chinach. W połowie okresu Khing-li, który Chińczycy poczytują za swój złoty okres historyczny, a który trwał krótko, bo tylko od r. 1041 do 1049 naszej ery, żył pewien rzemieślnik chiński, nazwiskiem Bi-szing. On to właśnie był pierwszym wynalazcą ruchomych czcionek i drukarstwa. Czcionki, mające grubość brzegu monety, wyrzynał z gliny, zmieszanej z klejem, później zaś, w celu nadania im większej mocy, wypalał je w ogniu. Czcionki robił dlatego z gliny, a nie z drzewa, że drzewo wrażliwsze jest na wilgoć i łatwo się paczy, a wskutek tego i czcionki z niego zrobione byłyby nierówne. Każdy z hieroglifów, składających pismo chińskie, Bi-szing posiadał w dwudziestu lub więcej nawet egzemplarzach, aby starczyć ich mogło na jedną formę drukarską. Skoro nie były potrzebne do użytku, trzymał je zawinięte w papier. Cały zapas czcionek, przedstawiających jeden hieroglif, mieścił się w osobnej przegródce skrzynki drewnianej, czyli po naszemu kaszty zecerskiej. Kaszta ta, z powodu wielkiej ilości odmian czcionek, potrzebnych do składania pisma chińskiego, podobnie jak to dziś ma miejsce w Japonii, miała zapewne kształt okrągły i przegródki z pojedynczymi rodzajami czcionek szły w niej dookoła.

Mając zapas gotowych czcionek, Bi-szing zabierał się do pracy zecerskiej. Pojedyncze czcionki układał na blasze żelaznej, do której przyklejał je jakąś masą, w której skład, między innemi, wchodziła żywica i wosk. Gdy mu w ciągu składania tekstu brakło jakiej rzadziej używanej czcionki, robił ją na poczekaniu i wypalał zaraz przy słomianym ogniu. Widzimy przeto, że już wtedy trapiła zecerów, a może pośrednio i autorów, ta sama bieda, która zwłaszcza u nas, trapi ich dotąd.

Zastawiwszy czcionkami całą tablicę i przechodząc do drukowania, Bi-szing wkładał ją w formę żelazną, która ściskała czcionki z boków. Taką ściśniętą formę ogrzewał następnie trochę na ogniu i równał powierzchnię jej, uderzając zlekka w czcionki polerowanym drewienkiem. Czcionki wciskały się wskutek tego w nagrzany trochę kit i cała forma otrzymywała powierzchnię gładką, jak kamień szlifierski. Odbijając coś, pierwszy drukarz chiński miewał zawsze pod ręką dwie żelazne blachy do przyklejania czcionek. Gdy na jednej, pełnej czcionek, robił odbitki, pocierając nałożony na czcionki papier delikatną szczotką o krótkim włosie, na drugiej pomocnicy jego układali dalszy ciąg tekstu, aby był na czas gotów. Po ukończeniu druku formę nagrzewano silniej, kit puszczał i czcionki odchodziły z łatwością z blachy, aby znaleźć się znów w przegródkach kaszty. Po śmierci Bi-szinga pozostały po nim zapas czcionek, oraz sztukę odbijania, odziedziczyli jego towarzysze pracy i zachowali ją aż dotąd.

Jeżeli pod mianem sztuki drukarskiej rozumiemy odtwarzanie za pomocą ruchomych czcionek pisma ludzkiego w większej liczbie egzemplarzy, w takim razie przyznać trzeba, że wynalazek chińskiego rzemieślnika o całe cztery wieki wyprzedził chwilę, w której Gutenberg sporządził pierwsze swe ruchome czcionki. Nie znał tylko Bi-szing mechanicznej tłoczni, która pozostaje wynalazkiem niemieckim.

Tego rodzaju czcionki z palonej gliny utrzymały się w Chinach aż do końca panowania południowej dynastyi Szung, tj. mniej więcej do r. 1280. Z chwilą wstąpienia na tron dynastyi mongolskiej, wynalazek Bi-Szinga poszedł, jak się zdaje, w zapomnienie. Przynajmniej Marco Polo, który około tego czasu był na dworze panującego Chińczykom chana, nic o nim

nie umie powiedzieć, nadmieniając tylko o stemplowaniu czerwoną farbą papierowych pieniędzy za pomocą pieczęci. Dopiero pod sam koniec wieku piętnastego słyszymy znów o drukowaniu książek ruchomemi, rznięternł z miedzi i ołowiu czcionkami, w okolicy dzisiejszego Szanhaju. Gdy zważymy, że w Japonii już pod koniec ósmego wieku wydrukowano pewną książkę, traktującą o buddyzmie, za pomocą metalowych tablic z wyrzniętym na nich tekstem, nie może nas bardzo dziwić, iż Chińczycy zdobyli się na czcionki rznięte z metalu pod koniec wieku piętnastego. Odlewanie ruchomych czcionek z metalu przedsięwziął dopiero pod wpływem jezuickich misyonarzy sławny cesarz Khang-hi, pochodzący z tej samej dynastyi mandżurskiej, która dotąd panuje w Chinach. Dalsze udoskonalenia w odlewaniu czcionek chińskich są już zasługą Europejczyków i dokonane zostały pod okiem europejskich sinologów.

Należy zaznaczyć, że drukowanie książek ruchomemi czcionkami nigdy, zdaje się, nie było w Chinach w wielkiem użyciu i nie miało wielkiego znaczenia. Posługiwano się w tym celu chętniej drewnianemi tablicami z wyrzniętym na nich tekstem. Wiadomość o pierwszej takiej tablicy drewnianej do drukowania w Chinach sięga roku 593 naszej ery. Wenn-di, założyciel dynastyi Szui, wydał w roku tym edykt, nakazujący gromadzenie niedrukowanych tekstów, wyrzynanie ich na drewnianych tablicach i odbijanie w większej ilości egzemplarzy. Niejaki Fong, ongi minister, a dziś patron drzeworytników chińskich, posługując się takiemi tablicami, wydał w połowie wieku dziesiątego pierwszą edycyę klasyków literatury chińskiej, podczas gdy pierwszy tego rodzaju druk europejski pochodzi dopiero z r. 1423. Z biegiem czasu sztuka drukowania takim sposobem dosięgła w Chinach wysokiej doskonałości. Zapewniał nas ktoś, że podobno w ostatnich czasach przełożyli i wydali nawet Chińczycy w taki sam właśnie sposób wiele prac Korzona, Askenazego oraz najnowsze dzieło Kraushara, poprzedziwszy te wydawnictwa obszernym wstępem, w którym uczeni wydawcy chińscy wysławiają historyę, tę po wsze czasy wielką „mistrzynię życia.“

St. C.

ZWYRODNIENIE
W ŚWIETLE NAUKI WSPÓŁCZESNEJ *).

Pojęcie zwyrodnienia uprawnia do przypuszczenia, że istnieje pojęcie normy. Nie znamy wprawdzie idealnie normalnego człowieka i wobec tysiącznych wahań indywidualnych pod względem cielesnym, a głównie duchowym nie umielibyśmy go sobie nawet wyobrazić. Jednakże nauka przy dzielnej pomocy doświadczenia życiowego pozwoliła nam wytworzyć sobie pojęcie o tem, co zwykle nazywamy normą. Nie wszystko, co od niej odskakuje, będziemy nazywali zwyrodnieniem. Jeżeli człowiekowi brak jakiejś części ciała, np. nosa, to nazwiemy go wprawdzie nienormalnym, ale nigdy zwyrodniałym. Jeżeli jednak te lub inne braki dosięgają takiego stopnia rozwoju w człowieku, że zmieniają jego istotę, jako przedstawiciela gatunku, wtedy będziemy mówili o zwyrodnieniu. Nasuwa się z kolei pytanie, jakie braki zaliczyć wypada do kategoryj wyżej wymienionych.

Istotę każdego gatunku stanowi to, co bywa przekazywane potomstwu. Otóż te odstępstwa od typu (w znaczeniu ujemnem), które jako takie bywają odziedziczane lub też szkodzą mu w jakimkolwiek kierunku, podchodzą pod pojęcie zwyrodnienia.

Mógłby ktoś, przeczytawszy takie określenie, zauważyć, że wszak zwyrodnienie prowadzi w rezultacie do bezpłodności, że wobec tego określenia takie ostać się nie może. Trzeba jednak przyjąć pod rozwagę fakt, że właśnie uchybienia w stosunku do normy, warunkujące bezpłodność, bywają dziedziczone z pokolenia w pokolenie i że jedynie tylko ich nadmiar w danych osobnikach nie pozwala na dalsze rozmnażanie się. Najczęściej zaś w życiu spotykamy właśnie zwyrodnienie nieznaczne, czyli t. zw. częściowe.

Rozróżniamy zwyrodnienie odziedziczone i nabyte; wrodzone uważane być może za nabyte w łonie matki. Co do dalszego przekazywania już odziedziczonego zwyrodnienia nie może być, ogólnie biorąc, żadnej wątpliwości. Odziedziczalność braków nabytych wiąże się ściśle z kwestyą odziedziczalności *cech* nabytych wogóle. Co do tego istnieją obecnie w nauce dwa wrogie sobie obozy, z których jeden, ze Spencerem na czele, kruszy kopje *pro*, drugi, głównie w osobie Augusta Weissmana — *contra*. Prawda, jak się zdaje, leży pośrodku i większość biologów współczesnych zgadza się na następujące uogólnienie.

Cechy nabyte, wpływające na zmianę organów rozrodczych, warunkują zmiany w zarodnikach, a tem samem wpływają i na potomstwo. W ten sam sposób rozumiemy dzisiaj stopień odziedziczalności nabytego za życia zwyrodnienia. Tu znów w przeciwieństwie do poprzedniego, daje się zauważyć w dalszym szeregu pokoleń osłabienie cech, znamionujących zwyrodnienie nabyte. Alkoholizm np., warunkujący bezsprzecznie głębokie zmiany w organizmie, bywa najczęściej przyczyną tak lub inaczej objawiającego się zwyrodnienia u najbliższych potomków, dalsze zaś pokolenia *mogą* być zupełnie normalne. Jakie części organizmu ludzkiego najbardziej podlegają zwyrodnieniu? Jeżeli pominąć suchoty, które, ściśle biorąc, nie są zwyrodnieniem, lecz chorobą przekazującą potomstwu niedostateczną odporność całego organizmu, a specyalnie płuc, przeciwko specyficznemu drobnoustrojowi, to najczęstszem siedliskiem zwyrodnienia będzie system nerwowy, głównie zaś mózg. Zanim przejdziemy do cielesnych i duchowych objawów zwyrodnienia, musimy jeszcze kilka słów powiedzieć o jego przyczynie. Nic łatwiejszego, jak doszukać się przyczyny zwyrodnienia nabytego. Przy dziedzicznem jednak napotykamy w tym względzie na nieprzezwyciężone dotąd trudności. Przypuszczać należy, że i ono zostało kiedyś nabytem, ale w jaki sposób? Mówiono dawniej wiele o szkodliwości małżeństw pomiędzy krewnymi; dziś większość uczonych wypowiada zdanie, że jeżeli dwoje ludzi pochodzi z rodziny zdrowej i sami nie objawiają żadnych anomalij, to potomstwo najczęściej pozostaje zdrowem. Przyznać jednak musimy, że wiadomości nasze pod tym względem są więcej niż skąpe.

Mózg najczęściej ulega zwyrodnieniu; nic więc dziwnego, że nazywając kogoś zwyrodniałym, mamy na myśli właściwości jego ducha. Zwyrodnieniu duchowemu jednak odpowiadają często pewne zmiany w budowie ciała. Jeżeli jest ich większa ilość w danym osobniku, np. pięć, to już z wielkiem prawdopodobieństwem można *à priori*, nie znając człowieka, twierdzić, że jest i duchowo zwyrodniałym. Jeżeli odrębności cielesne są mniej liczne, to można i powinno się uważać je za objawy zwyrodnienia cielesnego, nie można jednak jeszcze wyprowadzać żadnych wniosków o umyśle i charakterze danej jednostki. Chcąc z zewnętrznych cech człowieka wytworzyć sobie pojęcie o jego właściwościach duchowych, zwracamy przedewszystkiem uwagę na to, co w języku popularnym nazywa się wyrazem twarzy. Pod tym względem nie mamy jeszcze danych ścisłych, naukowych: fizyognomistyka racyonalna znajduje się zaledwie w zalążku, musimy wszakże uznać za fakt niezbity, że zarys ust, uśmiech, a przedewszystkiem oczy, dają nam ważne punkty oparcia. Najczęściej mamy tu do czynienia z niedającem się należycie umotywować, niemniej jednak przez to prawdziwem wrażeniem. Pewne twarze budzą w nas sympatyę, inne — antypatyę, bojaźń, nawet wstręt i odrazę. Tych ostatnich uczuć doznajemy przy oglądaniu twarzy wybitnie brzydkich, oszpeconych, które świadczą już zwykle o pewnem zwyrodnieniu duchowem, acz nie dają żadnych wskazówek co do jego jakości i stopnia. Budowa czaszki pozwala nam już wyprowadzać mniej chwiejne, mniej na instynktowem wrażeniu oparte wnioski. Czaszki o nienormalnie wielkim obwodzie (ponad 60 ctm.), nie mają wielkiego znaczenia: często spotykamy je jako jedyną anomalię w budowie ciała u ludzi skądinąd najnormalniejszych, często są one rezultatem pewnych chorób. Zbyt mała czaszka natomiast jest daleko ważniejszą oznaką zwyrodnienia; a jeżeli prócz tego mamy wybitną asymetryę prawej i lewej strony lub znaczne spłaszczenie kości czołowej i potylicowej (t. zw. stromość czaszki), możemy to zupełnie poważnie uważać za oznakę zwyrodnienia.

Prócz czaszki zwracamy jeszcze uwagę na wielkość i kształt ucha, dolną szczękę, podniebienie, skórę i jej owłosienie, a z kończyn głównie na ręce. Uszy niezwykle wielkie, odstające, spiczaste, brak mięsistej części ucha; szeroka szczęka dolna o ostrych kątach; anormalne wygięcie podniebienia; blada cera twarzy i brak zarostu u mężczyzn; ręka koścista, twarda, lub zbyt miękka, jak gdyby zupełnie pozbawiona kości, dalej wilgotna, zimna — wszystkie te cechy, powiązane z sobą w najrozmaitszy sposób, pozwalają przypuszczać, że istnieje w danym wypadku jakaś bliżej niedająca się określić anomalia psychiczna. Ważną wskazówką pod tym względem bywa również brak proporcyi między oddzielnemi częściami ciała.

Dusza ludzka składa się z gmatwaniny myśli, uczuć, popędów i pragnień, które często bądź świadomie, bądź nieświadomie bywają ukrywane albo ujawniają się w czynach i wtedy pozwalają nam wytworzyć sobie pojęcie o charakterze danego człowieka. Przytem uwzględniamy zwykle stronę emocyonalną, tj. właśnie uczucia, pragnienia, popędy. Jeżeli chcemy poznać duszę jakiegoś człowieka, musimy zawsze pamiętać o tem, że mamy do czynienia z jednostką, której rozwój znajdował się pod wpływami zewnętrznymi najrozmaitszej natury. Drogą empiryczną dochodzimy zwolna do znajomości pewnych kategoryj emocyonalnych, które stanowią cechę charakterystyczną dla człowieka danej płci i wieku, wychowanego w pewnej sferze, należącego do pewnej grupy *społecznej*. Uczucia, pragnienia, popędy — te źródła czynów ludzkich — stanowiąc jedną z takich kategoryj, bywają zwykle harmonijnie rozwinięte i powiązane z sobą. Jeżeli pewien czynnik charakteru, pewne uczucia, pragnienia znajdujemy w danej jednostce zbyt silnie wybujałe kosztem innych, niedostatecznie lub zupełnie nie rozwiniętych, powstaje wtedy brak równowagi duchowej.

Psychiatra francuski, Magnan, pierwszy wskazał na ten brak harmonijnego powiązania i współdziałania różnych czynników psychicznych, jako na tło zasadnicze zwyrodniałego ducha. Ktokolwiek zarzuci tutaj, że wobec tego ludzie obdarzeni subtelnością uczuć, temperamentem, ludzie, których silne wrażenie zdolne jest wytrącić z równowagi duchowej, są zwyrodniałymi,

*) Dr. P. J. Moebius: *Über Entartung*, 1900.

a normę stanowić będą ci, którzy idą przez życie, nie zbaczając ani na prawo, ani na lewo, spokojni, szczęśliwi, bez troski o jutro, bez zwątpień i bez rozczarowań, słowem filistrzy. Rzecz się ma inaczej, a najlepiej przekonamy się o tem na przykładzie. Uczucie macierzyństwa jest u kobiety czemś tak naturalnem, jak sam fakt fizyologiczny rodzenia. A jednak nie każdą kobietę, która dziecko swoje zabiła, nazwiemy zwyrodniałą. Jeżeli dziecko było nieprawe, to obawa o jego przyszłość, wstyd, nędza i cały szereg innych czynników mogą *w danej chwili* działać tak silnie, że równowaga pomiędzy niemi a uczuciem macierzyństwa może się zachwiać i matka popełni dzieciobójstwo. Taką kobietę po dokładnem rozważeniu okoliczności towarzyszących nazwiemy raczej nieszczęśliwą, ale nigdy zwyrodniałą. Zdarzają się jednak wypadki, szczególnie w wielkich środowiskach ludzkich, że matka z tych lub innych, najczęściej poziomych lub nawet występnych względów, chce się dziecka swego pozbyć, lecz obawiając się ciężkiej kary, znęca się nad niem lub pozwala znęcać się innym i dokonywa tego z zupełną świadomością. Nie zawahamy się wtedy nazwać kobietę wyrodną matką, gdyż w takich wypadkach brak miłości dla dziecka jest wprost brakiem, wadą jej świata emocyonalnego.

Każdy człowiek może mieć w życiu chwile zapomnienia, szału, rozpaczy i wtedy popełnić może czyn, wykraczający po za granice powszedniości, może dopuścić się nawet zbrodni — to będą jednak tylko chwile dysharmonii, po których nastąpi przewaga uczuć innych, dodatnich, dzięki czemu utracona równowaga zostanie odzyskana. Są jednak ludzie, których organizacya duchowa jest już *à priori* tak słabą, bodźce hamujące (jak np. litość lub obawa kary) tak niedoskonale rozwinięte, że wystarcza im najlichsza sposobność, ażeby popełnić zbrodnię. Tych zwykle nazywamy „urodzonymi przestępcami.“ I to wszakże rozumieć trzeba z zastrzeżeniem. Ci ludzie nie urodzili się przestępcami: przyszli oni na świat z pewną anomalią umysłu, która, pod wpływem wychowania, warunków życia, ujawniła się w ten lub inny sposób. Brak litości i lekkomyślność z jednej strony, despotyzm i okrucieństwo — z drugiej, mogą w pewnych warunkach życia stworzyć mordercę; w innych znowu człowiek despotyczny a wolny zupełnie od lekkomyślności, może „zajść wysoko,“ zostać wysokim urzędnikiem, znakomitym mężem stanu itd. Zawsze obok zasadniczego tła danej organizacyi duchowej przyjmować trzeba pod uwagę warunki życiowe, wśród których się ona rozwijała.

Z kwestyą zwyrodnienia łączą niektórzy i istotę geniuszu. Jeżeli niedorozwój pewnych uczuć może wytworzyć dysharmonię duchową, charakterystyczną dla przestępcy, to z drugiej strony niepowszedni rozwój pewnych zdolności twórczych, cechujący umysły genialne, również może mieć swe źródło w braku równowagi duchowej, stałej, w zwyrodnieniu. Tego zdania jest i Moebius, a jako dowód przytacza fakt, że ludzie w tym lub innym kierunku genialni, wykazują skądinąd pewne braki, a często nawet ulegają takim chorobom nerwowym i umysłowym, które rozwijają się na tle zwyrodnienia. Zapewne, mamy przykłady ludzi genialnych, którzy są t. z. dziwakami; wiemy, że Cezar, Napoleon, Schiller cierpieli na epilepsyę; ale czyż z tych faktów można wyprowadzać ogólny wniosek: geniusz, to zwyrodnienie? Sądzimy, że w takiem rozumowaniu jest błąd zasadniczy. Jeżeli przypomnimy sobie określenie zwyrodnienia, to tylko odstępstwa od typu w znaczeniu ujemnem podchodzić będą pod to pojęcie.

Genialny wódz, lekarz, mówca, uczony, poeta lub filozof mogą obok swych zdolności twórczych w danym kierunku nie posiadać innych, mogą nawet wykazywać pewne braki w swej organizacyi duchowej, ale w ostatecznym obrachunku będziemy mieli zawsze uchybienie wobec normy w kierunku dodatnim a nie ujemnym. Możemy sobie wyobrazić, że narodzi się kiedyś człowiek, który posiadać będzie głębię myśli Spinozy lub Kanta, szerokość rzutu Darwina lub Spencera, duszę Mickiewicza, orlą fantazyę Słowackiego, poczucie barw i kształtów Leonarda da Vinci, niezłomność przekonań Galileusza, potęgę słowa Savanaroli, a nie będzie jednocześnie tak miłosiernym, jak Chrystus (bo doskonała harmonia wymagałaby wtedy tylko takiego stopnia dobroci), czy i takiego człowieka nazwiemy zwyrodniałym? Będziemy mogli tylko skarżyć się na niedoskonałość natury ludzkiej.

Dr. M. B.

NOTATKI NAUKOWE.

Jeszcze Ruskin! — gotów zawołać czytelnik nasz, na którego cierpliwość zagięli parol wydawcy i nieumiejętni tłomacze polscy jego dzieł. I dlatego chcielibyśmy być zwięźli. W Anglii, jak wiadomo, istnieje cały szereg towarzystw „imienia Ruskina,“ która to nazwa służy za wygodny parawan dla różnorodnej działalności, często z wielkim moralistą nic wspólnego nie mającej. Świeżo zaś zawiązała się w Londynie unia, mająca na celu kult Ruskina. Chce ona mianowicie — to promote the study of the Works of Ruskin, recognising them without indiscriminate approval, as the outcome of a genius at once profond, sympathetic and generous and nobly used for the benefit of mankind (popierać studya nad dziełami Ruskina, przyczem punktem wyjścia dla badacza powinien być nie wolny od krytycyzmu pogląd na Ruskina, jako na geniusz jednakowo głęboki, sympatyczny i szlachetny, którego owoce doskonale spożytkowane zostały dla dobra ludzkości.

Unia odbywa stałe posiedzenia i wydaje „Dziennik obrad“ (*Journal of Proceedings*), dostępny jednak tylko dla stałych członków. Raz na rok, 8-go lutego, w rocznicę urodzin Ruskina, zwołuje się ogólne zgromadzenie członków. Unia taka, jako klub — realny i idealny — wszystkich przyjaciół Ruskina, wolny od wszelkiego zacietrzewienia frakcyjnego, wyznaniowego itd., wydaje nam się instytucyą nader pożyteczną. Składka roczna członków wynosi pół gwinei ($5\frac{1}{4}$ rubla). Kwartalnik Unii, nieznajdujący się w sprzedaży, otrzymują członkowie darmo. Adres sekretarza: Londyn E, 4. The Albany, Piccadilly.

—sp.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA SZWEDZKA.

AUGUST STRINDBERG.

Dramaty: *Klucze królestwa niebieskiego; Przed sądem wyższym; Szał.*

I.

Gdy spojrzymy na smutną i mozolną drogę, którą przebył duch Strindberga, zanim opłatać go zaczęły płomienie „Inferna“; jeżeli ogarniemy pamięcią przestrzeń czasu, leżącą między rokiem 1879 a 1898; jeśli z realistycznego a głośnego pod pierwszą datą ogłoszonego „Czerwonego pokoju“ rzucimy okiem na światy, które błyskawicami gniewu szarpał, rozdzierał i usiłował burzyć Strindberg-burzyciel — natenczas przedstawi nam się widok bolesny i pełen tragicznej grozy.

Aby go uzmysłowić, przypomnę mało znany obraz Böcklina. Jest noc—cicha, letnia noc. W mieście usłanem w pięknej kotlinie, niby w miękkiem, bezpiecznem gnieździe, śpią ludzie. Prawdopodobnie — ludzie dobrzy i mniej dobrzy, więcej lub mniej ułomni, jakbądź — ludzie żywi, nad którymi nie przestała ciążyć klątwa grzechu pierworodnego. Wypoczywają zapewne po trudach i cierpieniach dnia, gotując się na nowe trudy i cierpienia. Za legendarnych czasów do męczonego człowieka zstępował nieraz w chwili snu Bóg — groźny Jehowa szeptał słowa pociechy i nadziei. Tymczasem tu, nad uśpionem miastem przeciągają straszliwe upiory: widmo pożogi z szyderczym śmiechem rozpala na spokojnem niebie krwawe łuny; mór szczerzy chciwie zzieleniałe zęby i błogosławi mu w cichości ducha śmierć-hyena, żądna żeru. To wojna. I za chwilę w cichej kotlinie rozlegnie się krzyk trwogi i jęk konania. Z miasta pozostaną zapewne gruzy.

A na gruzach stąpać będzie Strindberg-tułacz, który w imię nienawiści, nienawiść niosąc, wypowiedział ludziom wojnę. I przeżył ludzi, przeżył tych, których nielitościwie smagał w „Czerwonym pokoju,“ bo odwrócili się od niego i rozpoczęli nowy byt, poczęty w słowie miłości, które im niesiono. Cały świat uczuć erotycznych spalił w płomieniu nienawiści, która wypisywała kolejno imiona „Wierzycieli,“ „Julii,“ „Ojca,“ „Towarzyszy“ i doszła do zenitu w „Spowiedzi głupca.“ Zostały po tym świecie zwaliska i on — samotny Strindberg. Popłynął tedy na „Szerokie morza“ i tu, nie mając już sił nienawidzieć, ukochał siebie, morze i — dziecko. Piął się na najwyższe szczyty, na których sam sobie wznosił świątynie. Ukochał się, lecz i ta miłość jeszcze płynęła ze źródła nienawiści ogólnej. Nie mając już wokoło siebie ludzi, zaczął prowadzić wojnę z utajonemi siłami przyrody, które go otaczały i w których nagle usłyszał podszepty szatana. Przeżył piekło, a gdy i piekło znienawidził — siebie przeżył i pogodził się z Bogiem. Lecz wątpię, czy ta zgoda będzie trwała.

W tych mniej więcej ramach mieści się tułacza droga Strindberga, człowieka najsmutniejszego i najsamotniejszego wśród smutnych i samotnych.

Najsmutniejszym nazywam go dlatego, że jak mało kto ma świadomość swego samotnego nieszczęścia. Ma świadomość wogóle i tragedyę świadomości skreślił, pisząc dramat „Klucze królestwa niebieskiego.“

Dramat ten powstał właściwie w r. 1892. Życzeniem Strindberga było, aby publiczność poznała go ze sceny. Nasuwały się wszakże rozliczne trudności techniczne, dotychczas niezwalczone, wskutek czego Strindberg ogłosił go wreszcie drukiem.

Dramat ten należy do rodzaju, który Niemcy nazywają „Marchenspiel.“ Tylko że okrutna to bajka i okrutna zabawa. Zdawaćby się mogło chwilami, że jest to niejako zemsta wiedzy nad niewiedzą, niedoli nad szczęściem, burzy, ziejącej niszczącemi iskrami, nad cichością i pogodą. Zdawaćby się mogło, że pod strasznym, szyderczym śmiechem, który niczego nie oszczędza, płacze drugi głos i woła: „Dlaczego widzę, dlaczego wiem? Dlaczegom nie jest ślepy i niewidzący, jak oni? Całe to nędzne mrowie ludzkie ma niewyczerpane źródło pociechy — w złudzeniach. Ma tradycye piękne i uświęcone, tradycye, któremi osładza szarość powszedniego dnia i uczuć powszednich; ma miłość, która codziennie stwarza cuda; ma religię ideałów i nie wygasłą od czasów Prometeuszowych tęsknotę za niebami. Z takiemi złudzeniami, które w dodatku mają si-

łę wiary, żyć jest łatwo. On zaś, Strindberg, nie ma złudzeń, więc — niechaj ich nikt mieć nie śmie.

To nie złość, to tylko mowa i męka samotnego nieszczęścia. Człowieka strapionego drażni śmiech. Śmiać się nie ma powodu... *Gnothi seauthon* — poznaj samego siebie i poznaj, czem i jak żyjesz—a śmiać się przestaniesz! Męki, którą ci poznanie zgotuje, nie przetrwasz — zginiesz, choćbyś był sam ziarnem i kwiatem wszelakich złudzeń. Chyba — że masz... drobne dzieci!..

Dzieci Strindberg kocha i może dlatego boleść poznania zsyła na swego ślusarza we śnie i jemu jednemu — z tych, którzy mają złudzenia — z życiem z bajki wyjść pozwala.

A sen ślusarza taki jest:

Za powrotem z jakiejś, nie wiadomo z jakiej, podróży ślusarz, który przepada za podróżami i z namiętnością wczytuje się w opisy dróg i krajów nieznanych — dowiaduje się, że troje jego ukochanych dzieci umarło. Zmiotła je zaraza, której zwalczyć nie potrafił nawet doktór „Wszechwiedzkim“ zwany. Ślusarz wpada w rozpacz. Konające dzieci brały doktora za ojca, całowały jego ręce i w krótkiej chwili dały mu odczuć szczęście i ból ojcowstwa. Ma tedy dla ślusarza współczucie. Chce, ażeby zapomniał o nieszczęściu i postanawia spełnić najgorętsze jego marzenia, „sen młodości“ — postanawia pokazać mu daleki świat i nieznanych ludzi. Wybierają się w podróż, gdy nadchodzi św. Piotr, wędrujący według legendy po ziemi. Św. Piotr zgubił klucze niebieskie i chce, ażeby mu je ślusarz dorobił. Nie ma jednak miary. Miarę trzebaby zdjąć u wrót. Wszyscy trzej wybierają się tedy w drogę do wrót niebieskich. Św. Piotr jest bardzo stary, o sobie tyle tylko wie, że jest synem Jonasza, rybaka z Capernaum i że krążą o nim podania, których po części nie zna, a po części nie rozumie.

Niepodobna powiedzieć, aby Strindberg postać św. Piotra odtworzył z miłością. Odebrał mu nawet pamięć owych wielkich, świętych czasów, zostawiając mu zaledwie okruchy pobladłych i pomieszanych wspomnień. Pierwszą stacyą podróżnych jest wybrzeże leśnego jeziora, w którem przegląda się Narcyz. W łódce po jeziorze płynie potworny Thersites. On to, z zawiści i próżności rozpowszechnił podanie o próżności Narcyza. Na wezwanie doktora nimfy i oready opowiadają prawdziwą historyę życia Narcyza, który wyrzekł się miłości, ukochawszy mądrość — przegląda się w głębokości wód, by głębię istoty swojej przeniknąć— wmyśl zasady: „Gnothi seauthon.“ Thersites, powodowany próżnością i zachęcany przez oready, nachyla się również nad taflą wód, napróżno wszakże sili się dostrzedz cośkolwiek prócz mułu, traci wreszcie równowagę i— tonie.

Jest to niejako dość przejrzysta przygrywka do niezbyt zachęcającej symfonii poznania, której poszczególne części oplotą się koło cmentarnych dźwięków przewodniego motywu, koło zgłosek: *Gnothi seauthon*...

Dalszą stacyą podróżnych jest karczma „pod złotym koniem,“ w której czynią przygotowania na przyjęcie licznych gości. I zaiste, dziwny nadciąga tu orszak. Rycerz Don Kichot z Manszy przybywa na srebrne wesele Romea i Julii. Don Kichot utył, a Sancho Panza schudł. Utyła też Rosinanta...

— Czyżbyście, panie rycerzu, obrali sobie określony jakiś zawód, czy weszliście nareszcie w ciasne stosunki mieszczańskiego życia?

— Tresuję konie wyścigowe i objeżdżam końskie jarmarki. Oto mój adres!

Tak ślusarzowi odpowiada Don Kichot.

A tymczasem zbliża się orszak. Muzykanci — stary Montecchi i stary Capulet, ramię w ramię, Hamlet i Ofelia, Otello i Desdemona, Sinobrody i małżonka jego lady Macbeth; na samym końcu Romeo i Julia w otoczeniu pięciorga większych i mniejszych dzieci...

Don Kichot, w którym zebrani czczą widocznie dar mowy, wygłasza oracyę weselną. Warto jej posłuchać, chociażby w skróceniu.

— Witam was, stary Montecchi, i was, stary Capulecie! Cieszę się, że po tyloletniej nieprzyjaźni, której moc porównać można tylko do siły waszego obecnego uczucia — że po tyloletniej nieprzyjaźni widzę was, ot tak, ramię w ramię. Przyczem wszakże nie mogę przemilczeć, że przyjaźń dwóch tych starych firm jedwabniczych, firma „Montecchi i Capulet w Weronie“ narodziła się właściwie wraz z pojawieniem się trzechprocentowej pożyczki medyolańskiej.

Miło mi też powitać małżonków, Romea, szefa domu bankowego „Romeo & Synowie“ i ukochaną jego żonę, Julię. Nie chciałbym wprowadzić rozdźwięku w harmonię tak miłej uroczystości rodzinnej; widząc wszakże dwoje głuchoniemych dzieci tego małżeństwa, muszę zauważyć, że lepiej by było, gdyby związek ten nie był przyszedł do skutku. Stąd morał: tak bywa, gdy nieposłuszne dzieci łamią wolę rodziców.

...Z przyjemnością stwierdzam, że obecny tu rycerz Sinobrody zwalczył wreszcie swoje poligamiczne instynkty i żyje w szczęśliwym względnie związku z lady Macbeth, która znakomitą pracą o zniesieniu kary śmierci zdołała w małżonku swoim rozwinąć lepsze poglądy...

...Z równem zadowoleniem witam dawnego mego druha, Otella weneckiego. Po przebytych burzach i on pogodził się z żoną swoją Desdemoną, mimo to, że miał jawne dowody jej zdrad. Obdarzała ona łaskami nietylko podoficera Jagona, ale i oficera Kassjusza, obecnie zaś sama wpadła w szał zazdrości i drży, aby murzyn nie odpłacił jej pięknem za nadobne...

...Wreszcie księciu Hamletowi i p. Ofelii Polonius winszuję zaręczyn. Trudno przewidzieć, jak potoczy się życie tych marzycieli, sądzę wszakże, że ponieważ rozpoczęli je o wiele za wysoko, skończą je o wiele za nizko...

No, a teraz bawmy się! Że w podobnem gronie zabawa nie może być zbyt wesołą, to rzecz jasna. Niech tedy uczestnicy pod tym względem nie oddają się żadnym złudzeniom. Przedewszystkiem: *żadnych* złudzeń!“

Don Kichot oszalał — tak przynajmniej mówi stary Montecchi. Lecz ten innego jest zdania:

— Oszalałem! — powiada. Tak, oszalałem! Kiedy wierzyłem w wiatraki, dziewki od krów, w niezapłacone rachunki i mosiężne talerze, byłem szalony! Teraz zaś, gdy nie wierzę już w niezapłacone rachunki i wiatraki, też jestem szalony. Precz mi z oczu, hołoto! Jedzcie, pijcie, mówcie o miłości, lecz nie nazywajcie jej żądzą; opiewajcie Dulcyneę, lecz strzeżcie się rzec, że była szynkarką; czcijcie rycerza Sinobrodego, lecz ani słowa o jego instynktach poligamicznych; wielbijcie Romea, nie zdradźcie się wszakże, że wiecie o jego pierwszych zrękowinach; kładźcie aureolę na głowę Desdemony, lecz nie wspomnijcie nawet o tem, że była pospolitą zalotnicą! Precz, hołoto! Okłamujcie się wzajem tak, abyście tylko ciehaczem i w ukryciu sami sobie przyjrzeć się mogli, by zobaczyć, jak wygląda wasze wnętrze!

Na co św. Piotr zauważa, że Don Kichot zatracił... ideały.

— Ideały? A w którym to rozdziale i w którym wierszu Pisma św. znaleźliście wyraz „ideał“? Nie przypomnicie sobie, bo go tam niema! Myślicie może „złudzenia“? Że są złudzenia i czem one są, wiem i ja... Wiatraki, dziewki od krów, mosiężne talerze...

Wszystkich złudzeń wyzbył się podobno Don Kichot, ma tylko jeszcze złudzenie co do przyjaźni Sancha. Sancho jednak powiada: „Przyjaźń, przyjaciele? Dalibóg, panie, zdaje mi się, że nawiedza was znów choroba dawnych złudzeń!..“

Tymczasem ślusarz zdołał się zakochać w ulicznej dziewczynie, którę wziął za uosobienie wszystkich cnót. Trwa w miłości, mimo pouczeń Don Kichota. Lecz dziewczyna wraz z orszakiem weselnym znika w jakiejś przydrożnej studni. Ślusarz nagle czuje się starym, zabrano mu bowiem „piękną ułudę życia.“ Czuje obrzydzenie do ludzi i chciałby być olbrzymem, któryby to nędzne mrowie i skorupę ziemską mocen był zgnieść...

Wszechwiadek spełnia to życzenie. Ślusarz przeistacza się w ogromny złom skalny — tak wielki, że budzi odrazę i trwogę. Miażdży karłów i przyzywa przyjaciół. Lecz zarówno św. Piotr, jak i Don Kichot, który przyłączył się do wyprawy ku wrotom niebieskim, uciekają od niego.

„Przyjaźń istnieć może tylko między osobnikami jednej mniej więcej miary. Jesteś dla mnie za wielki, ślusarzu!“

Rozwścieklony tedy samotnością wali się na cichą wioskę, która kwitnie u jego jego stóp i siada na jej gruzach.

Natenczas Wszechwiadek prowadzi go wraz z towarzyszami do „Utopii“ i czyni go królem tej ziemi obiecanej. Przywraca mu nawet ową kobietę, która zginęła w mroku studni. Ale szczęście nie trwa. Na wyspie wybuchają spory, przesilenia ministeryalne, ambicye i ambicyjki i w atmosferze swarów wybucha tragicznie kończąca się kłótnia między królem i królewną. Wszechwiadek nie chce jej już wskrzesić— przypomina natomiast cel podróży— wrota niebieskie. Droga do nich prowadzi przez Rzym. Św. Piotr, bardzo niegościnnie tu przyjęty, mniema, że nigdzie nie wydawał się sobie tak od nieba dalekim, jak właśnie w Rzymie. I przychodzi mu tu na myśl, że drogą do nieba jest droga cierpienia. Ślusarzowi zdaje się, że ten cierpi najwięcej, kto najmniej wierzy — poddaje się wszakże i idą ku stacyi krzyżowej. U stóp Krzyża siedzi Don Kichot i prowadzi rozmowę z Żydem wiecznym tułaczem. Żyd odbiera mu resztki złudzeń:

„Czy wiecie, rycerzu, dlaczego Judasz odrzucił trzydzieści srebrników i powiesił się?.. Pieniądze owe były fałszywe!..“

Żadnych złudzeń!

A Don Kichot pod krzyżem zwolna umiera. I powiada: „Jeśli życie moje było tylko podaniem, to jednak odżyje ono w każdem pokoleniu — póki ludzie gonić będą mary, póki niczego się nie nauczą i niczego nie zapomną...“

I św. Piotr umiera i powiada:

— Umieram bez skargi. Niema nieba na ziemi, są tylko jego wrota, a imię ich— śmierć!

I ślusarz jest zmęczony, lecz Żyd wieczny tułacz, właściwie zaś dr. Wszechmędrek, prowadzi go do ostatniej stacyi. Prowadzi go na wieżę Babel, przypomina mu legendę do wieży tej przywiązaną, pokazuje mu Ikara, Prometeusza i Jakóba walczącego z Jehową. Pokazuje mu też drabinę Jakóbową i ślusarza na jej widok ogarnia na nowo tęsknota za niebem, zerwana podobno wraz z grzechem... z drzewa poznania.

Tu sen pierzcha. Wszechmędrek pokazuje ślusarzowi jego dom i dzieci uśpione, żegnając go słowami: „Patrz w rzeczywistość a nie ufaj pozorom. Wieży Babel nie buduj, bo wraz z nią zapadniesz się!..“

Żadnych złudzeń!

Wszechmędrek okazał się bardzo dobrym dla ślusarza. Gniewało go tylko, że życie ślusarza płynęło bez burz, więc chociaż we śnie rozsrożył nad nim burzę po-

znania. Pomęczył go tylko trochę, poczem pozwolił mu wrócić „do tego jedynego dobra, które nie jest złudzeniem“ — do dzieci. Dzieci ocaliły ślusarza i sprawiły może, że jak Don Kichot i św. Piotr, nie okupił śmiercią poznania.

Ten sam proces o kilka lat później powtarza się w losach samego Wszechmędrka-Strindberga i opisany jest z tragiczną grozą w „Infernie.“ Tylko że tu drobne rączęta straciły moc pod naciskiem innej siły, która błędnym i przegryzionym łzą poznania oczom Strindberga przedstawiała się jako „Nemesis divina“ i która mówiąc: „kto wiedzę mnoży, boleść mnoży“ — zdawała się mówić zarazem: „Boleść złóż u stóp krzyża!“

Uczynił to Strindberg — lecz, jak był, jest tułaczem.

Malwina Posner-Garfein.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

SZTUKA. „Album sztuki polskiej.“ Serya I. Wystawa retrospektywna w Warszawie 1898 r., opracował H. Piątkowski. Zeszyt VIII. Warszawa, Laskauer i Babicki.

POEZYE. Słowacki: „Poezye liryczne i prozaiczne,“ z przedmową P. Chmielowskiego. „Bibl. dzieł wyb.“

— Wiktor Gomulicki. „Wybór wierszy.“ Z portretem autora. T. Paprocki. Str. 204.

— Tegoż: „Pieśń o Gdańsku.“ T. Paprocki. Str. 38. Cena 75 kop.

— Tegoż: „Warszawianka,“ studyum niefilozoficzne. T. Paprocki. Str. 88. Cena 80 kop.

POWIEŚCI. Julian Łętowski: „Nowocześni bohaterowie,“ nowele i opowiadania. Wydanie II.

HISTORYA. Piotr Chmielowski: „Metodyka historyi literatury polskiej.“ Dodatek do *Przegl. pedagog.* Zeszyt VI (ostatni).

— „Dzieje powszechne ilustrowane.“ Wiedeń. Bondy. Zesz. 351—360.

NAUKA. A. Grabowski: „Polskie słownictwo chemiczne,“ dodatek do tyg. *Wszechświat.*

POEZYE

Harmonika.

W długie wieczory letnie — w wielkim miejskim domu
Nagłe ciszę podwórza dźwięk jakiś rozprasza,
Jakieś ochrypłe granie zrywa się z poddasza,
Wije się, drga, zawodzi i łka pokryjomu.

To łka tak harmonika — a w dźwięków powodzi
Wre taniec napół smętny — dziki do połowy,
Zrywa się śpiew uliczny — brutalnie zmysłowy,
Wykrzywia się ze śmiechu i płaczem zawodzi.

To granie harmoniki. Oto się powtarza,
Oto powraca motyw silny i uparty —
Śpiew porwany na strzępy, jak życie nędzarza—
Taki sam monotonny, taki sam zażarty.

Chwilami orgią całą zrywa się szalenie,
Jęczy, jak wicher duszny na spalonej niwie —
I gra, gra, gra bez końca, wściekle i fałszywie
Cały szał, całą nędzę i ból i spodlenie.

Kto gra? Kontury domu w jeden cień się zlały.
Kto gra? Nie widać grajka. Zwolna noc zapada,
Rzekłbyś to już nie człowiek jeden—to tłum cały
Straszliwe dzieje duszy swojej opowiada!

Tak, kiedy wieczór letni blaski powypłasza
I zamilkną namiętne ulicy okrzyki —
Łkają każdego święta z każdego poddasza
Nieskończone, ochrypłe dźwięki harmoniki.

Władysław Sterling.

SPRAWY EKONOMICZNE

ERA MASZYNY.*)

(Według prof. G. Schmollera).

Jeżeli nazywamy nowoczesny zachodnio-europejski system gospodarczy pod względem technicznym erą maszyn, to nazwa ta, zapożyczona u najbardziej ważnego i rzucającego się w oczy zjawiska, nie wyczerpuje istoty rzeczy. Ostatnia bowiem polega na wypływającej z doskonałego poznania natury racyonalizacyi wszystkich procesów gospodarczych, na stosowaniu coraz lepszych, bardziej złożonych, a jednak w skutkach bardziej tanich metod i kierunków pracy, które przy jednakowym albo i mniejszym napięciu siły dają większe i lepsze rezultaty.

Zasadniczy punkt wyjścia, początek rozwoju zaczyna się tam, kiedy człowiek począł myśleć o oszczędzaniu pracy ludzkiej i zastępowaniu ostatniej siłą mechaniczną, narzędzia — maszyną. Narzędziem nazywamy techniczny przyrząd, który ułatwia proces pracy, ale wykonanie jej czyni w każdej chwili zależnem od ręki i głowy pracującego; maszyna zaś jest to przyrząd, który zmusza siły przyrody i cały system złożonych narzędzi do wykonywania ruchów w pewnym mechanicznym porządku, tak iż człowiek pozostaje tylko dozorcą i ogólnym kierownikiem procesu pracy, wykonywającym ostatecznie pewną tylko ilość drobnych mechanicznych rękoczynów.

Wiemy, że do prostej siły człowieka przybyła nasamprzód siła zwierzęcia, a później zużytkowano wiatr i wodę, jako łatwe do ujęcia siły mechaniczne, zużytkowanie to jednak było zupełnie surowe i nie dawniej jak od stu lat siły te zostały zupełnie przez człowieka opanowane. Do nich przybyły bardziej skuteczne siły mechaniczne: para i elektryczność. Łatwy rachunek arytmetyczny pokaże, w jaki sposób wpłynęły one na życie gospodarcze. Jeżeli dla przykładu wymienimy Niemcy, to 26 milionom jej zdolnej do pracy ludności odpowiadać będzie: równa pod względem sprawności mechanicznej siła pociągowa koni i wołów; siła pary znajdzie swój wyraz w 114 milionach ludzi, siła wody — w dziewięciu i pół, maszyny gazowe — w $^4/_5$ mil. ludzi; elektryczności nie możemy ocenić. W ten sposób mechanicznej sile ludzi odpowiada przynajmniej sześciokrotna siła zwierząt i przyrody (około 150 milionów), podczas gdy około 1750 r. stosunek wzajemny tych dwu kategoryj był prawie jednakowy, a jeżeli uprzytomnimy sobie, że owe 124—125 milionów jednostek sił mechanicznych (bez zwierząt) wspierają głównie 10—11 milionów ludzi, zajętych w komunikacyi, handlu i przemyśle, to zobaczymy, że mamy do czynienia nie z sześcio- ale dwunastokrotnym wzrostem sił produkcyjnych. Dodać jeszcze należy stanienie sił. Engel obliczał w 1880 r., że tonna - kilometr kosztuje za pomocą pary 0,4, za pomocą konia 11,7, za pomocą siły ludzkiej 52,6 feniga. Cyfry te mają zastosowanie tylko w zakresie komunikacyi, w innych dziedzinach nie w takim stopniu, często nawet wcale nie; natomiast stosujemy dzisiaj każdy rodzaj siły tam, gdzie on jest najbardziej odpowiedni i tani, nauczyliśmy się otrzymywać jedną siłę z drugiej, z ciepła — parę, z siły wody albo pary — elektryczność. Dokonywamy koncentracyi albo kombinacyi siły, rozkładamy ją w przestrzeni i czasie z najdokładniejszym oznaczeniem miary, umiemy przekształcać ruch obrotowy w wahadłowy itd. Działalność maszyny polega na procesach ruchowych; tam ma ona zastosowanie, gdzie chodzi o ruchy równomiernie powtarzające się, z najwyższą szybkością dokonywane. Niema dla niej miejsca tam, gdzie siła musi co chwila stosować się do przeszkód, dostępnych dla oka i dotyku, do zmian materyału i formy. Maszyna tam działać może, gdzie proces pracy daje się podzielić na cztery równe części, podział tedy pracy, dokonywany za pomocą narzędzi wyspecyalizowanych — historycznie i praktycznie poprzedza często maszynę. Gdzie nie ma tych warunków, tam maszyna nie odegrywa albo żadnej, albo tylko pomocniczą rolę.

Największe zastosowanie maszyny nowoczesnej znajdujemy w zakresie komunikacyi; tu chodzi tylko o ułatwienie, przyspieszenie, uporządkowanie, ujednostajnienie procesów ruchowych: ludzie, dobra materyalne, wiadomości poruszają się dziś tak łatwo i tak tanio na przestrzeni tysiąca i stu tysięcy, jak dawniej — 5 i 100 mil. Dostawa środków żywności, uskutecznianie stałej wymiany pomiędzy ludźmi w zakresie spraw duchowych, moralnych i gospodarczych wzrosło szalenie. Podział pracy pod względem geograficznym, handel wszechświatowy, większe rynki, większe państwa, wojny dzisiejsze, rozciąganie szyn kolejowych, drutów telegraficznych na najbardziej odległe placówki życia ludzkiego — oto są skutki. Po tych teoretycznych uwagach możemy z łatwością zrozumieć, że maszyna znalazła niezmiernie wielkie zastosowanie w przemyśle, doszła do kulminacyjnego punktu w tkactwie, nie tak wielkiego w górnictwie, jeszcze mniejszego w zakresie handlu, stosunkowo małego w zakresie rolnictwa i ogrodnictwa. Rolnik nie może zcśrodkowywać procesu pracy, dzielić go na części, któreby jednocześnie wykonać się dały; musi indywidualistycznie przystosować pracę do gleby, powietrza, pory roku. Posiada dzisiaj lepsze narzędzia, używa niekiedy maszyny, korzysta z postępów chemii i fizyologii, nigdy jednak nie może tutaj technika dokonać mechanizacyi wszelkiej pracy, nie może podnieść produkcyi 10 i 100 razy; wiele już uczyni, jeżeli tę produkcyę podwoi albo potroi. Przyczyny są znane; już Liebig mówił, że podwójna praca mechaniczna i podwójnie silne nawożenie nie mogą po przekroczeniu nie bardzo odległej granicy dać podwójnego urodzaju. Największy kapitał i cała technika świata nie mogą stworzyć na powierzchni mili kwadratowej środków pożywienia dla setek tysięcy i milionów ludzi. Prawo „zmniejszającej się wydajności ziemi“ ma swoją prostą przyczynę: procesy fizyologiczne, które nam dają chleb i mięso, wymagają miesięcy i lat czasu, roślinność zależy od ograniczonej powierzchni ziemi, wpływy zaś słońca, wilgoci, ciepła, pługa sięgają nader niegłębokich tylko warstw ziemi.

Wszystkie tedy gęsto zaludnione okolice wymagają dowozu z daleka, który zwiększa koszt towaru. Różny wpływ techniki na produkty przemysłowe i środki żywności stwierdza znaną prawdę, że w pochodzie kultury pierwsze stają się coraz tańsze, drugie zaś droższe. Produkcya środków żywności rozbija się o granicę, której technika nie może przezwyciężyć. Możemy się zadowolić, że stanienie produktów maszynowych wyrównywa al-

*) Podajemy poniżej streszczenie dość obszerne ustępu z najnowszego, znajdującego się jeszcze pod prasą, dzieła jednego z najznakomitszych ekonomistów niemieckich p. t. *Grundriss der allgemeinen Volkswirtschaftslehre.* Nie podzielamy atoli wszystkich poglądów wielce uczonego historyka-ekonomisty. W czasie najbliższym *Prawda* zamieści artykuł sprawozdawczy, w którym praca niniejsza krytycznie rozpatrzona zostanie.

bo zmniejsza coraz większą drożyznę środków żywności. Dodać należy, że wszędzie, gdzie ograniczony materyał surowy, lub ograniczoność miejsca staje na przeszkodzie wzrostowi podaży, jak to ma miejsce z węglem, rudą, mieszkaniami po miastach — postęp techniczny może zmniejszyć skutki ścieśnionych dróg produkcyi, lub sparaliżować zakusy monopolu, nie może ich jednak znieść lub przezwyciężyć.

Wobec wszystkich tych wywodów jest rzeczą jasną: „trzeźwa obserwacya nie może zaintonować dytyrambicznej ody na cześć maszyny i techniki, które od stu lat zasypują nas w takim stopniu dobrami materyalnemi, że pod skrzydłami właściwego ustroju gospodarstwa społecznego moglibyśmy żyć w błogiem szczęściu, pracując zaledwie 2—4 godzin dziennie.“ Albowiem „jest wszędzie wątpliwem, czy ludność nie będzie wzrastała szybciej, niż przeciętna produkcya ogólna.“ Dalej zaś „należy zastanowić się czy te części gospodarstwa społecznego, na które wpłynął w wysokim stopniu postęp techniki, posiadają więcej znaczenia od tych, na które on w mniejszym tylko wpłynął stopniu.“ Wszak wydajemy na utrzymanie swoje 50—60, na mieszkanie 10—20 procent dochodu, cóż tedy dziwnego w tem, że większość ludzi i dziś, pomimo wszystkich zwycięztw techniki musi ciężej pracować, niż dawniej, tak, iż zadawano drwiące pytanie — czy też istotnie lepsze i piękniejsze ubranie, szybsza jazda, najważniejsze zdobycze nowoczesnej techniki — mogą nas uczynić bardziej szczęśliwymi? Taki nawet entuzyastyczny wielbiciel techniki, jak Emanuel Hermann wątpi, żali my lepiej odżywiamy siebie i mieszkamy, niż Grecy i Rzymianie, tylko nasze narzędzia i chemiczne metody — mniema on — stoją wyżej. Możemy dumnie powtarzać, że praca ręczna 1,560 milionów żyjącej ludzkości nie starczyłaby, aby wykonać owe ilości przędzy, druku i ruchu, których dokonywa maszyna, ale nietylko przędzą, drukowanemi wiadomościami i lokomocyą żyje człowiek.

(D. n.).

KARYKATURY CHIŃSKIE *).

Niemcy.

Niemcy są wielkimi zwolennikami ceremonij i mają wiele szacunku dla zwierzchników i ludzi wyżej położonych. Niemiec przy spotkaniu zaraz zdejmuje kapelusz. Dlatego to mówią Anglicy, że Niemiec nie dłużej nad pięć minut trzyma kapelusz na głowie. Niemiec jest bardzo dumny, jeżeli może na swym bilecie wizytowym umieścić długi szereg tytułów, a na piersiach powiesić długi łańcuch odznaczeń. Często jedna osoba posiada cztery do pięciu tytułów i czterdzieści do pięćdziesięciu medali. Jeżeli kto chce się Niemcom przypodobać, to musi ich oraz ich małżonki tytułować, nazywając te ostatnie np.: pani akademikowa albo pani sędzina!

Anglicy.

Anglicy odznaczają się rozrzutnością; ich żony i córki lubią nadmierne wydatki: suknię, która kosztuje 100 laws (200 rb.) kładzie się tylko dwa razy, poczem uchodzi za starą i zastępują ją nową. Anglicy wydają wiele pieniędzy na konie, wino i biesiady. Te wygórowane wymagania są powodem, że Anglicy często zawierają małżeństwa z rozsądku; obawiają się też licznego potomstwa, co w Chinach jest zjawiskiem zupełnie nieznanem. Anglicy piją i jedzą tak, jak „rekin ssie i jak wilk pożera.“ Piją nieraz do utraty przytomności i topią często cały majątek w whiskey.

Francuzi.

Francuzi lubią wszystko co wytworne i błyskotliwe. Za parę jedwabnych pończoch płacą 5—6 laws (10—15 rubli); oni już z natury są zwolennikami fraszek, które nęcą oko. Ubrania kupują tylko w wielkich magazynach, płacąc za nie trzy razy tyle, ile są warte. Paryżanie lubią spacery i hulanki. Mieszkańcy innych krajów tłumnie ciągną do Paryża, aby się tam zabawić i nie spotkałem ani jednego, któryby nie był paryskiem życiem zachwycony. Wszyscy cudzoziemcy czują się w tem mieście tak dobrze, że zapominają o powrocie do domu. W sklepach spotyka się w Paryżu tylko kobiety i wszystkie są bardzo ładne. Umieją cudzoziemców czarować uśmiechem i uprzejmością; nazywają ich *mo-si-eu*. Kupujesz parę rękawiczek, to same ci je przymierzają i nawet na obie ręce. Ale też w zamian żądają za bagatelkę, która kosztuje 20 franków, 30 albo 40. Są bardzo zadowolone, jeśli im się daje żądaną cenę. W dni świąteczne można sobie wybrać najładniejsze z tych magazynierek i zrobić w ich towarzystwie wycieczkę. Magazyny, które nie posiadają ładnych sklepowych, są przez cały rok puste.

*) W *Annales politiques et littéraires* Delines podaje według dzieła Chen-Sin-Tschon: „Si-tschi lei-bian“ (Zbiór wiadomości o sprawach zachodnich) poglądy Chińczyków na Niemców, Anglików i Francuzów.

KRONIKA.

Ruch kobiecy. Wskutek porozumienia się ministeryum oświaty z akademią sztuk pięknych, do czasu ułożenia przepisów egzaminacyjnych dla osób pragnących otrzymać tytuł nauczyciela lub nauczycielki rysunków, egzamina kobiet mają się odbywać w taki sam sposób, jak egzamina mężczyzn.

— Ministeryum oświaty rozesłało do okręgów naukowych wyjaśnienie, że lekarze - kobiety mogą zajmować posady lekarzy przy instytutach żeńskich, gimnazyach, pensyach, szkołach i innych zakładach żeńskich wychowawczych, dobroczynnych i naukowych. Kobiety, zajmujące posady lekarskie, korzystają ze wszystkich praw służby państwowej, jakie zyskują mężczyźni - lekarze, zajmujący podobne urzędy, z wyjątkiem praw do rangi, munduru oraz orderów.

— *Prawit. Wiest.* ogłosił specyalną instrukcyę, na której mocy kobiety-lekarze dopuszczone będą do zajęć naukowych w akademii wojskowo-medycznej. Mianowicie kobiety mogą uczęszczać na zajęcia praktyczne do klinik żeńskich i dziecięcych i do odpowiedniego oddziału klinicznego szpitala wojskowego, oraz do kliniki nerwowo-psychiatrycznej, przyczem muszą otrzymywać specyalne, na 2 lata ważne zezwolenia dyrektorów klinik. Termin dwuletni może być przedłużony do trzech lat. Ilość lekarzy-kobiet, dopuszczanych do zajęć praktycznych, jest ograniczona: po jednej na każde 10—15 łóżek. Podczas zajęć praktycznych kobiety pełnią obowiązki ordynatorów, nie otrzymując za to żadnego wynagrodzenia, ani praw służby państwowej.

Z sądu. Niejaki Rochlin w drodze sądowej domagał się od kupca Blumenthala zapłaty 450 rb., należnych mu za skojarzenie małżeństwa Blumenthala z córką kupca Bielińskiego, w stosunku 4½ kop. od każdych 100 rb. posagu.

Sprawa ta przeszła pod rozpoznanie senatu rządzącego, który powództwo Rochlina oddalił, orzekając, iż pobieranie opłaty za stręczenie małżeństw sprzeciwia się zasadom moralności. Tłomaczenia Rochlina, że małżeństwo u Żydów nie jest sakramentem, lecz tylko rodzajem umowy, senat nie uwzględnił. Uznał on, iż namawianie do małżeństwa przez osoby trzecie wpływa na uczucie, wolę i rozum osoby, nie mającej być może chęci do poślubienia proponowanego kandydata lub kandydatki. Wpływanie w tym celu na wolę obcej osoby sprzeciwia się głównej zasadzie małżeństwa, a mianowicie zobopólnej zgodzie mężczyzny i kobiety, i powinno tedy być uważane za niemoralne, zarówno u chrześcian, jak i u osób innych wyznań.

Koleje i komunikacye. Z najnowszego wydawnictwa ministeryum komunikacyi (Obzor za r. 1899) dowiadujemy się, że w końcu tego roku Rosya posiadała 46,684 wiorst drogi żelaznej (w Rosyi Azyatyckiej 5,938 w.). Z tej liczby w zarządzie skarbu znajdowało się 30,203. Podróżnych przewieziono 85 milionów, a towarów 4,316 milionów pudów. Tabor składał się w ogólnej liczbie z 11 tysięcy lokomotyw i 245 tysięcy wagonów osobowych i towarowych.

Wykłady ludowe W roku 1889 urządzono w New-Yorku pierwsze publiczne wykłady dla ludu w sześciu salach. Wykładów było 186; słuchaczy — 22 tysiące. Według świeżo ogłoszonego sprawozdania dyrektora wydziału szkolnego m. New-Yorku dr. Henry Leipzigera w roku zeszłym ilość sal wyniosła 48, wykładów — 1871; słuchacze zgromadzili się w liczbie 538 tysięcy. Największa ilość słuchaczy przypadała na poniedziałki (250 tysięcy), we wtorki — 100 tys., we środy — 67,000, w soboty — 65,000. Połowa wykładów obejmowała naukę poważną i w licznych pogadankach uwzględniała całe gałęzie wiedzy ścisłej. I tak kurs 10 pogadanek dotyczył „dźwięku i muzyki“; lekarze udzielali praktycznych wskazówek pierwszej pomocy w ciężkich wypadkach, zaziębienia, niestrawności, rozpoznawania fałszowanych wiktuałów itd. Po za tem słuchano o Szekspirze, Goethem, Stevensonie, Ruskinie; wykładów o antropologii, historyi fizyki; jeden z delegatów amerykańskich na konferencyę pokojową do Hagi zdał sprawę z obrad. Dr. Leipciger otrzymywał od słuchaczy często listy z podziękowaniem za doskonałą rozrywkę. „Wykłady te umożliwiają samokształcenie i tym ludziom, którzy wyczerpani są całodzienną pracą.“ Zarząd miasta nosi się z myślą przeznaczania w każdym nowobudowanym domu szkolnym jednego pokoju na podobne wykłady.

Nauka uniwersytecka. Otrzymujemy zapowiedź wykładów zimowych (1900/1) w sympatycznej instytucyi paryskiej „College libre des sciences sociales“ (ist. od r. 1895), zawierającą jak zwykle niezmiernie bogaty spis prelekcyj. W sekcyi „teoryi i metody“ wykładać będą: Bertillon (Demografia), Brunhes (Metoda geograficzna), Le Dantec (Biologia w zastosowaniu do socyologii), Marin (Metody etniczne i społeczne), Maroussem (Związek międzynarodowy ankiet), Salcilles (Prawo a nauka społeczna), Yves Guyot (Skarbowość). W sekcyi „nauk historycznych i opisowych“: Blondel (Kwestya społeczna w Niemczech), Brun (Kobieta a literatura francuska w XIX stuleciu), Delbet (Socyologia A. Comte'a), Dufourmantelle (Organizacya ekonomiczna współczesna pod rządem wolnego współzawodnictwa), Guiraud (Praca w starożytnej Grecyi). *Kazimierz Kelles - Krauz, nasz korespondent paryski K. Radosławski* (Monizm ekonomiczny z szerokiem uwzględnieniem socyologii polskiej: *Józef K. Potocki*, *Krzywicki*, *Krusiński*), Maksym Kowalewski (Stan ekonomiczny i doktryny społeczne Francyi w drugiej połowie XVIII wieku), Marillier (Małżeństwo i rodzina u ludów pierwotnych), Metin (Demokracya społeczna w Australii i N. Zelandyi), ksiądz Naudet (Kobieta i feminizm w ordynacyi społecznej katolickiej), Roussel (Parlamentaryum), Pani Souby-Dargue (Feminizm), Tarbouriech (O własności), Turmann (Ruch społeczny katolicki współczesny), Breton (Inspektorat fabryczny), Cruppi (Prawodawstwo prasowe) itd. Wykłady obejmują dwie serye: od 5 listopada do 20 stycznia i od tego dnia do 10 kwietnia. Wpis kosztuje 30 franków (uczniowie innych zakładów naukowych, profesorowie i nauczyciele płacą 10 fr.

Nauka. Od 17—21 września odbędzie się w Akwizgranie 72 zjazd przyrodników i lekarzy niemieckich, na który zapowiedziano już 300 wykładów. Dnia 17 odbędzie się zgromadzenie ogólne, na którem rozpatrzone będą zdobycze i postęp umiejętności przyrodoznawczych i medycyny w XIX stuleciu. Mianowicie, pierwszorzędni uczeni, jak Van t'Hoff, Otton Hertwig, Naunyn, Chiary mówić będą o umiejętnościach przyrodniczych anorganicznych, o rozwoju biologii, o medycynie wewnętrznej wraz z hygieną i bakteryologią, o anatomii patologicznej. D. 21 odbędzie się znowu posiedzenie ogólne, na którem między innemi J. Wolff omówi kwestyę stosunku wzajemnego formy i funkcyi organizmu, a Drygalski — plan i zadania niemieckiej wyprawy do bieguna południowego. Z pośród kwestyj, które będą debatowane w sekcyach

specyalnych, powszechną zwraca uwagę referat profesorów Verworna i Nissla „O neuronach.“

Pomnik. D. 27 lipca odsłonięto w Krynicy pomnik prof. Józefa Dietla.

Szkody, wyrządzone przez ostatnie wylewy w hiszpańskich prowincyach Murcia Almeria, Alicante wynoszą przeszło 25 milionów pesetów. Rząd przyznał kredyt nadzwyczajny dla ulżenia strasznej nędzy. Liczba ofiar jeszcze stanowczo nieoznaczona. W Alborzmulu wydobyto liczne zwłoki.

Zmarli. W Kopenhadze prof. J. Kjeldahl, znany chemik-piwowar, w wieku lat 50, utonął, ratując przypadkowego topielca.

Rozmaitości. Świeżo zmarły fizyolog heidelberski, prof. Kühne, zażądał przed śmiercią, „aby podczas palenia jego zwłok została dobrze (gut) odegraną pierwsza część dziewiątej Symfonii Betowena. Wszelka zaś inna uroczystość ma być wykluczona.“

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu S. M. Czy Pan rzeczywiście mniema, że „ludzkość dotąd szła bez steru“ i dopiero go od Pana otrzyma? Ale w takim razie dlaczego Pan zapomniał wypowiedzieć tego „nowego mocnego słowa“?

Panu Er. Bey'owi. Lira Pańska jest rzeczywiście „brzękodajna...“, ale dźwięki jej są dla *Prawdy* nieodpowiednie. Przy tej sposobności zwracamy uwagę Pańską, że przy przenośniach należy liczyć się z wymaganiami języka, a więc: pieśń nie może być młodzieńcem; nymfa jest rodzaju żeńskiego; wreszcie „szron“ nie „rosi.“

Panu Z. D. Nie możemy skorzystać z utworu Pańskiego. Niestety, nie posiada on wartości artystycznej. A mógłby Pan z pożytkiem pracować, tylko niechże Pan zarzuci wszelkie „wizye.“

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 13 Іюля 1900 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.